◆ JANUSZ BOGUCKI ◆ WILLIAM FAULKNER ◆ JERZY KIERST ◆ KONSTANTY SIMONOW ◆

ODRODZENIE

TYGODNIK

Redakcja: Daszyńskiego 16
Administracja: Daszyńskiego 14
Cena 25 zł

Rok VI | Warszawa, dnia 29 maja 1949 r. | Nr 22 (235)

JERZY BOREJSZA

POŚMIERTNY HOŁD ADOLFOWI HITLEROWI

Po gangsterskim porwaniu uczonego niemieckiego Gerharda Eislera z polskiego statku „Batory" dokonanym przez policjantów angielskich na rozkaz ambasady amerykańskiej, rodzi się współczucie dla obywateli państwa, które zamieniło się w wykonawcę rozkazów dolarowego pana. Minister spraw wewnętrznych Labour Party oświadczył publicznie wobec parlamentu, że nie może w tej sprawie udzielić szczegółowych wyjaśnień, gdyż nie otrzymał jeszcze żądania ekstradycji od władz amerykańskich, czym przyznał się, że wykonuje w zdyscyplinowany sposób polecenia obcego państwa, nie ośmielając się zgłębiać jego motywów i intencji. Jakże zwrotna i pouczająca w historii Wielkiej Brytanii jest scena, gdy w sądzie angielskim obrońca Eislera adwokat Collard pyta inspektora Scotland Yardu — Braya:

— Czy będzie pan mógł przygotować się do sprawy Eislera w proponowanym przez pana terminie ośmiu dni, czyli do 24 maja?

Bray: Nie wiem.

Obrońca: A kto o tym wie?

Bray: Wie o tym ambasada Stanów Zjednoczonych.

Historia nie zna większego upodlenia publicznego jak to, do którego klika Churchilla doprowadziła naród Szekspira, Shelleya, Byrona i Bernarda Shawa. Aresztowanie uczonego, odważnego bojownika antyfaszystowskiego, którego nazwiskiem posługiwała się propaganda angielska w okresie, gdy Londyn żył pod alarmem lotniczym bomb hitlerowskich, było złożeniem pośmiertnego hołdu Adolfowi Hitlerowi. Jedno wiemy na pewno, dzieje się to za cenę honoru całego narodu angielskiego, za cenę poniżenia tego, co było w historii jego szczytne i wielkie. Byron zginął w obronie wolności Grecji — pan Bray składa pośmiertny hołd Adolfowi Hitlerowi.

Nie mamy wątpliwości, że naród angielski, którego rzeczywistymi przedstawicielami byli ci uczeni, pisarze i robotnicy angielscy, którzy zasiadali z delegacją polską na wielkim Kongresie Pokoju w Paryżu, wystawi rachunek p. Edenowi i p. Brayowi. Czy redaktor „Głosu Anglii", pisma mającego propagować jego kraj w Polsce, jeśli zechce wyjaśnić sprawę Eislera, nie powinien zmienić nazwy tego pisma z „Głosu Anglii" na „Echo Ameryki".

×

Gdyby piszący te słowa był człowiekiem religijnym, odmawiałby codziennie modły dziękczynne za to, że nie jest obywatelem kraju, w imieniu którego odważono się dać klice lokai paktu atlantyckiego rozkaz porwania człowieka, który wykazał dość odwagi, aby wbrew hitlerowskiemu rządowi swego kraju walczyć o sprawiedliwość i pokój.

Biedny naród amerykański! Ludzkość jest bogata przez swoje zdobycze humanizmu, jest bogata przez rozwój kultur narodowych, jest bogata przez ciągły postęp, dzięki któremu kraje nowej demokracji, odrzuciwszy złudną filantropię „planu Marshalla" odbudowują i rozbudowują swoją siłę, swój przemysł i tworzą nową kulturę socjalizmu. Stany Zjednoczone określają swoje bogactwo cyfrą dolarów. Za jaką cenę są te dolary zdobyte? Po pierwszej i drugiej wojnie światowej te dolary były zbroczone krwią żołnierzy europejskich. W drugiej wojnie nasz naród liczący 30 milionów ludności stracił 6 milionów, podczas gdy Stany Zjednoczone przy swoich 140 milionach straciły dwanaście razy mniej, natomiast zarobiły krocie dolarów, za które teraz wykupują lub niszczą sztukę starej Europy zależnie od względów opłacalności. Wywożą obrazy i rzeźby włoskie, równocześnie zaś wykupują wytwórnie filmowe, by importować pornograficzne i detektywistyczne filmy, stwarzające odpowiednią atmosferę dla wyczynów bezprawia już na skalę międzynarodową, jak porwanie Gerharda Eislera. Kraść muzykę murzyńską, malarstwo meksykańskie, importować sztukę i naukowców europejskich, aresztować antyfaszystowskiego uczonego — czy to droga kultury? Co najmniej wątpimy.

Biedny naród Stanów Zjednoczonych! Początkowo usiłowano go karmić teoriami antyhumanistycznymi, że technika, bomba atomowa i dolar pozwoli stworzyć wiek amerykański. Pisaliśmy wówczas: ostrożnie z bomba atomową! Dziś panowie z Wall Streetu przekonali się, że bomba atomowa nie da rady Europie i Azji, i że armia Mao-Tse-Tunga miażdży wspierane ich techniką wojska Czang-Kaj-Szeka. Forrestal, hołdownik tej teorii skończył ze sobą już w domu obłąkanych; inni jego zwolennicy jeszcze tam nie trafili. Mamy jednak nadzieję, że dalszy ciąg nastąpi. „My o pokój nie prosimy, my narzucimy pokój światu", mówił na Kongresie Paryskim wielki uczony prof. Joliot-Curie.

I narzucimy ten pokój nie tylko w obronie własnych naszych narodów, ale w obronie matek Stanów Zjednoczonych, które tym razem dla szaleństwa kliki magnatów musiałyby dać własnych synów na front, gdyż narody Europy — to dziś wielka piechota pokoju, która po raz trzeci nie zechce służyć za mięso armatnie dla businessmanów. Narzucimy im pokój po to, aby Nowy Jork i Waszyngton, miasto, które dla nas wiąże się z nazwiskami Kościuszki i Pułaskiego nie zamieniły się w gruzy.

Tej lekcji chcemy narodowi amerykańskiemu zaoszczędzić, aby nie musiał tak jak my na gruzach Warszawy uczyć się, czym jest wojna wszczęta przez imperialistów.

Jednej lekcji — powtarzamy — nie zaoszczędziliśmy ludziom z Wall-Street. Odrzuciliśmy kolonizację naszego zrujnowanego kraju przez dolary planu Marshalla. I dlatego łącznie z innymi państwami obozu pokoju rośnie nasza siła.

I wychodząc na ulice naszej stolicy Warszawy, odbudowywanej własnym wysiłkiem naszego ludu, Warszawy domu Ministerstwa Przemysłu i Domu Słowa Polskiego, Warszawy Trasy W—Z i mostu Poniatowskiego, radując się z każdej nowej ulicy — wiemy: rośnie wielki nasz kraj, rośnie nowa piękna nasza stolica.

Spoglądając na rosnący Wspólny Dom, dumni jesteśmy z tego, że jesteśmy wychowankami naszej wielkiej partii, że mamy legitymację partyjną tej wielkiej organizacji, która potrafiła przełamać nacjonalistyczne odchylenie w imię walki o zwarty sojusz państw pokoju, dzięki temu potrafiła jasno i śmiało w walce z kosmopolityzmem walczyć o nową postępową, a więc owianą duchem internacjonalizmu kulturę swego narodu.

×

Wszyscy możemy być dumni, że jesteśmy synami narodu, którego rząd po raz pierwszy w dziejach kraju tworzy z narodem, z ludem jedną nierozerwalną całość. Jesteśmy dumni z naszego paszportu kraju demokracji ludowej, który zerwał z nacjonalistyczną - szlachecką bufonadą, a tym samym zniweczył kompleks niższości i czołobitności, styl antyszambrowania wobec krajów, które mogą się u nas — jak i u wszystkich krajów zwartego obozu pokojowych państw z ZSRR na czele — uczyć drogi postępu. Myśmy dali światu Kościuszkę i Pułaskiego, Mickiewicza i Szopena, generałów Komuny Paryskiej Dąbrowskiego i Wróblewskiego, wielką uczoną Curie-Skłodowską, pisarza Józefa Conrada i takich bojowników o lepsze jutro ludzkości jak wielki Feliks Dzierżyński i niezapomniany patriota naszego kraju i internacjonalista, generał Karol Walter-Świerczewski.

Jesteśmy dumni z naszych marynarzy statku „Batory", którzy zgodnie z prawami międzynarodowymi, z przepisami prawnymi udzielili prawa azylu nieszczęśliwemu synowi kraju, na którego czele stał burzyciel naszego kraju Adolf Hitler. Jest to poza wykonaniem elementarnych obowiązków marynarza — przejaw głębokiego humanizmu wychowanków naszej demokracji i szacunku dla walecznego człowieka. Synowie narodu, który tak ucierpiał od hitleryzmu, nauczyli się jak odróżniać winowajców od tych, którzy mogą odrodzić naród niemiecki. Ci, co porwali Eislera, mają prawo azylu tylko dla śmiesznych tchórzy i błaznów jak Mikołajczyk i Anders, którym wypłacają pensje z dolarów, zarobionych na krwi naszych narodów.

I dlatego w incydencie w sprawie Gerharda Eislera ludzie nowej kultury, owianej głębokim humanizmem z taką pogardą i nienawiścią odnoszą się do tych, co nic wspólnego z ludzkim stosunkiem do człowieka nie mają.

Jerzy Borejsza

Znakomity śpiewak murzyński z USA Paul Robeson przybywa w najbliższych dniach do Polski w związku z Kongresem Komitetu Centralnego Związków Zawodowych

CZESŁAW MIŁOSZ

NOWE WIERSZE

DO JONATANA SWIFTA

Do ciebie zwracam się, dziekanie,
Prosząc o dobre rady twoje.
Na tak nieczęste powitanie
Żadną się chlubą nie przystroję.

Widzę ocean zielonkawy
Jak pianą bije w brzeg skalisty
I w białych palcach tej oprawy
Szmaragdem połyskują wyspy.

Mieni się kamień fioletowy
Ponad Irlandią torfowiska
I w domach pod hukaniem sowy
Rynka w kominie kaszą pryska.

Srebro wyszycia, błysk peruki
I gęsie pióro mapę kryśli
Dla pouczenia i dla sztuki.
Zawsze nie w tej, co sądzą, myśli.

Według tej mapy, znak po znaku,
Mój okręt odnajdywał skróty.
Zwiedziłem ziemie Brobdingnagu
I nie minąłem wysp Laputy.

Poznałem także plemię Jahu
Co wielbi własne ekskrementy,
Żyjący w niewolniczym strachu
Donosicielski ród wyklęty.

Życie się moje przełamało
Na fazy najzupełniej różne,
Solą burz morskich w serce wiało
Lecz nie jest jeszcze całkiem próżne.

Niepojętego zaślepienia
Na oczach nie nosiłem wstążki.
I szczera wściekłość opromienia
Moje rozliczne obowiązki.

Ty możesz wskazać mi, dziekanie,
Jak się ten płyn przedziwny stwarza
Że prócz inkaustu pozostaje
Coś więcej na dnie kałamarza.

Daj mi sekrety swego wieku
Abym nie krzywił się obleśnie
Jak ci, co prawią o człowieku
I tylko cicho skomlą we śnie.

Odbity w lustrze Xiążę raczy
Chcieć pochwał swoich rymopisów
I kupry chylą w tył dworacy
Rzędami Whigów i Torysów.

Xiążę, dziekanie, zwykle błądzi
Choć za nim racja jest i siła.
Pęztyczek ze sławy go wytrąci
I w piekło kartoteki zsyła.

Trwalszy twój dom pod krzykiem sowy,
Gdzie noc irlandzkie sypie deszcze
Niż grymas książąt marmurowy
I drzewka lauru przypochlebcze.

Dotychczas mówią twoje usta:
Rzecz ludzka nie jest zakończona.
Kto dziejów doskonałość uzna
Bezbronną śmiercią niechaj skona.

Odwagi synu! Bierz okręty,
Na linach śmieszną flotę prowadź
I mrówczych mocarstw dawne błędy
Obszarom gwiazd daj kamienować.

Dopóki niebo jest i ziemia
Dla nowych Miast gotuj przystanie.
Poza tym nie ma wybaczenia.

Będę się starać, mój dziekanie.

KOLENDNICY

Z kozą, piszczałką i turoniem
Gdy wieje wicher świętokrzyski
I ponad strugą i nad błoniem
Latają w mrozie białe listki,
Z kozą, piszczałką i turoniem.

Dmie dujawica z gołoborza,
Na bosych saniach dziesięcina,
Ryby w kobiałkach, głowa łosza
I dzikie ptactwo i zwierzyna.
Z kozą, piszczałką i turoniem.

Rycerscy konno jadą z boru,
A zbroja na nich italiańska
I złoty łańcuch dla honoru
I miecz na straży kasztelaństwa.
Z kozą, piszczałką i turoniem.

Kędy na kościół kamień łomią,
Dziwo stawiają niewidziane,
Anioły w białe szaty stroją,
Teraz śniegami przysypane.
Z kozą, piszczałką i turoniem.

Koło kasztelu droga wiedzie,
Niżej łuczywo w izbach świeci,
Pszenicę warzy na wieczerzę
I miód gotuje naród kmieci,
Z kozą, piszczałką i turoniem.

Ejże, przywabią ich brzękadła
Kiedy w opłotki przybędziemy
I skoki, igry i szkaradła
I pieśni wdzięcznie odprawiemy.
Z kozą, piszczałką i turoniem.

KONCERT

Kto są te karły z twarzą leśnej kory
Wydobyte z jaskiń pod korzeniem drzewa
Wsparte o brzeg nogą pasikoników,
Przechylone rzędami, kiedy ręka lewa
Unosi pudłem targający poryw,
Prawa pracuje w armii lśniących smyków?

Z szeptu myszy w suchych liściach starej zimy
Z dziupli niedosięgalnych, rodzinnego pisku,
Zbiegli się i wykonują rzecz co nie istnieje
W muszlach nieba ani w grotach morza.
Dźwiękiem gnane otwierają się równiny
I śpiewaczki głos to źródło co jaśnieje
Kiedy w trawie niską iskrą idzie pożar.

Długie nogi jej zakryte suknią gęstą
Złoty sandał drobnym palcem przyciskają do estrady.
Z wnętrza ciepłych ust kulisty głos
W metalową klawiaturę się przemienia.
Marmurowe defilują przed jej wzrokiem kolumnady
Aż jej ręce dreszcz rozluźnia i zwycięstwo:
Ptactwo braw, zatoki uciszenia.

Z żółtej gliny pod ciemnością fundamentów
Kości w strojach z późnych dni Cesarstwa
Przez szkło podłóg oglądają widowisko:
Widzą karłów rozkraczonych z pudłem w ręku,
Kontrabasy, złote stopy
I śpiewaczkę — to jest linię nóg soczystą.

OCEAN

Łagodny język liżący
Okrągłe, małe kolana,
Poselstwo niosące sól
Miliardo-letniej otchłani.
Gdzie fioletowe osty,
Sadzone słońca meduzy,
Gdzie z płetwą samolotową,
Ze skórą z tarki, rekiny
Zwiedzają muzeum śmierci
Pod wieżą ciśnień z kryształu.
I delfin wygląda z fali
Twarzą czarnego chłopca
I w płynnych miastach pustyni
Pasą się lewiatany.

KONSTANTY SIMONOW

„My nie prosimy o pokój"

Przemówienie na Kongresie Pokoju w Pradze

Drodzy Przyjaciele!

Pozwólcie, bym was przywitał w imieniu wielomilionowego narodu radzieckiego, narodu, który udowodnił, że umie walczyć, ale który chce pokoju, który na przestrzeni trzydziestu z górą lat zawsze stał w pierwszej linii bojowników o pokój. Nie ma kongresu, na którym my, ludzie radzieccy, moglibyśmy wystąpić z większą radością, z większym entuzjazmem, niż na kongresie w obronie pokoju.

Wielu występujących na tej trybunie mówców wspominało niedawno skończoną wojnę.

I ja także ją przypomnę. Dokładnie cztery lata temu, 25 kwietnia 1945 r., byłem świadkiem radosnego zdarzenia. W tym dniu, gdy pułki radzieckie zdobywały ostatnie dzielnice faszystowskiego Berlina, w małym miasteczku Torgau nad Łabą radzieccy żołnierze spotkali się z żołnierzami amerykańskimi. Ściskali sobie przyjaźnie ręce, cieszyli się ze spotkania i z bliskiego zwycięstwa, które za kilka dni miało ukoronować wzięcie Berlina przez armię radziecką, cieszyli się, że wojna z faszyzmem dobiega kresu.

I mimo dotychczasowych ludożerczych oświadczeń amerykańskich generałów, w dalszym ciągu nie zmieniam mniemania, które nabyłem cztery lata temu.

W tym dniu żołnierze amerykańscy, których widziałem nad Łabą, tak samo szczerze cieszyli się z bliskiego końca wojny, tak samo szczerze chcieli pokoju, jak go chcieli nasi radzieccy żołnierze.

Podkreślam: żołnierze. Już wtedy, cztery lata temu, nie myliliśmy żołnierzy amerykańskich z amerykańskimi generałami.

I w tychże dniach 1945 roku widziałem na wszystkich drogach tysiące ludzi z wszystkich krajów Europy, ludzi oswobodzonych przez Armię Radziecką z faszystowskiej niewoli, ludzi idących do domów, do Fragi, Sofii, Aten, Rzymu, Brukseli, Paryża, Kopenhagi i do Warszawy.

Ci ludzie, obywatele wszystkich krajów Europy, szli do domu, niosąc własnej roboty szmatadary swoich państw, szli zmęczeni wojną, wycieńczeni niewolą, ale bezgranicznie szczęśliwi, w przewidywaniu szybkiego pokoju.

Nikt tak silnie nie pragnął wówczas pokoju, jak radzieccy żołnierze, którzy przeszli ciężką drogę od Stalingradu do Berlina, jak wyzwoleni przez nich ludzie wracający do domów, jak żołnierze wszystkich armii walczących wspólnie ze wspólnym wrogiem — faszyzmem.

Od tego czasu minęły cztery lata, ale ośmielę się powiedzieć, że nie widzę przyczyn, dla których ktokolwiek z tych ludzi mógłby przestać chcieć pokoju. Wszyscy pragną teraz tak samo jak wtedy. Chcą go żołnierze radzieccy, którzy zdobywali Berlin i chcą go ci, którzy teraz zostali żołnierzami i ci, którzy dawno już włożyli cywilne ubranie, chcą go ludzie, którzy cztery lata temu wrócili do domów z faszystowskich obozów, chcą go prości ludzie, Anglicy i Amerykanie, robotnicy i chłopi, których widziałem cztery lata temu nad Łabą ubranych w żołnierskie mundury...

Oni chcą pokoju; mówię o tym z przekonaniem nie dlatego, że chcę w to wierzyć, ale dlatego, że tak jest, pierwszym świadectwem zaś tego nasz kongres tutaj i w Paryżu.

Nasz kongres narodził się nie w jednym dniu. Jest on rezultatem walki o pokój wszystkich narodów świata, jest rezultatem rosnącego oporu przeciw podżegaczom wojennym; i jeżeli ci ostatni co dzień, co godzina agitują za wojną, to przecież my, wszyscy uczciwi ludzie świata, co dzień, co godzina walczymy z nią w ciągu tych czterech lat, poczynając od dnia zawieszenia działań wojennych.

W ciągu tych lat byłem w wielu krajach. Widziałem, jak w Tokio robotnicy japońscy na tysiącznych wiecach domagali się surowego ukarania japońskich ministrów — zbrodniarzy wojennych. Widziałem jak w Nowym Jorku dwadzieścia tysięcy ludzi zgromadzonych w sali Madison Square Garden nagradzano brawami słowa „pokój, przyjaźń, Stalin". Na własne uszy słyszałem jak we Włoszech, włoscy chłopi i rybacy przeklinali wojnę. Widziałem w Paryżu stutysięczny tłum wznoszący okrzyki: „Precz z Raynaud! Precz z Daladier! Precz ze zbrodniarzami wojennymi! Niech żyje pokój!" Zaledwie parę dni temu widziałem w Belgii, jak belgijscy robotnicy i inteligenci protestowali przeciwko wojskowemu Paktowi Atlantyckiemu, żądając pokoju i przyjaźni ze Związkiem Radzieckim i krajami demokracji ludowej.

Wiem dobrze, że między ludźmi wszystkich tych krajów byli ludzie różnych przekonań politycznych i religijnych, byli oni jednak jednomyślni w swoim pragnieniu pokoju.

Narody pragną pokoju. Myślę, że lud czechosłowacki z radością przyjąłby w murach Pragi wszystkich tych ludzi, którzy teraz, w tej minucie, znajdują się w sali obrad paryskiej części kongresu. I myślę, że lud francuski z radością powitałby w murach Paryża nas wszystkich, znajdujących się w tej chwili w sali obrad praskiej części kongresu.

Wiem, że i w tej sali są ludzie różnych przekonań politycznych i różnych religii, ale wiem również, że razem wstajemy, gdy mówi się słowo: „przyjaźń" i zgodnie oklaskujemy, gdy mówi się słowo: „pokój".

Reakcjoniści amerykańscy używając do pomocy francuskiego rządu, wbrew woli ludu francuskiego, nie wpuścili do Paryża większej części radzieckiej delegacji. Wyznaczyli nam limit, który — ponieważ jego wynalazcy znajdują się w Waszyngtonie — pozwolę sobie nazwać amerykańskim limitem.

Gdy się dowiedziałem o tym, od razu przypomniałem sobie Stalingrad, w którym byłem w dni walk, Leningrad, gdzie się urodziłem, przypomniałem sobie tysiące ofiar, za cenę których nie oddaliśmy tych miast faszystom.

Ale nie pamiętam, aby w tych strasznych dniach wojny amerykańscy reakcyjni dziennikarze pisali cośkolwiek o konieczności ograniczenia ilości naszych ofiar, lub żołnierzy, których wysyłaliśmy do walki z faszystami na wszystkich frontach. Nie przypominam sobie, żeby oni chociażby w słowach usiłowali zmniejszyć tę ilość.

Na odwrót, bardzo dobrze pamiętam, jak amerykańskie reakcyjne gazety piliły wtedy: „Więcej żołnierzy radzieckich, jak najwięcej żołnierzy, więcej, więcej, bez żadnych ograniczeń!"

Za to teraz, podczas kongresu pokojowego, przypomnieli sobie o limicie. Usiłowali się tak urządzić, żeby możliwie jak najmniej naszych delegatów walczyło o pokój na kongresie, możliwie jak najmniej, najmniej, najmniej!...

To świadczy nie tylko o braku sumienia i uczciwości, to świadczy o ich strachu. Oni boją się nas wpuścić, boją się tej walki, którą my prowadzimy o pokój. Boją się nas każdego z osobna i wszystkich razem. No cóż, budzić strach u wroga — to dobrze, szczególnie zaś kiedy tymi wrogami są wrogowie pokoju!

My nie prosimy o pokój, my go żądamy. Jesteśmy żołnierzami w walce o pokój.

Podżegacze wojenni, którzy wyobrażają sobie, że chcemy pokoju dlatego, że jesteśmy słabi — popełniają zasadniczy i niebezpieczny dla siebie błąd.

Chcemy pokoju nie dlatego, że boimy się wojny, lecz dlatego, że wiemy, jakie niedole przynosi wojna wszystkim narodom. A przecież my, w przeciwieństwie do podżegaczy wojennych, zawsze, przede wszystkim, myślimy o losach narodów, o ich interesach i nie tylko o interesach narodów swego kraju, ale i o pokrewnych interesach narodów całego świata.

Dlatego, chociażbyśmy się nie wiem jak czuli silni, chociażbyśmy mieli nie wiem jaką pewność zwycięstwa w obliczu jakichkolwiek prób — chcemy pokoju i tylko pokoju i uczynimy wszystko, aby nie dopuścić do wojny.

Mawiali kiedyś Rzymianie: „Dzieli i rządź!"

Podżegacze wojenni próbują teraz działać według tej starej bandyckiej zasady.

Ale nas, prostych ludzi, całego świata, nie tak łatwo rozdzielić. My — ludzie pracy, mamy silne ręce i gdy wyciągamy rękę jak druh do druha na przyjaźń, na pokój, tego uścisku nie mogą rozerwać i nie rozerwą.

A jeśli jesteśmy zwarci w naszej walce o pokój, jeśli nas, pokojowe narody nie można rozdzielić, jeśli do tego nie starczy sił podżegaczom — to na świecie będzie pokój a nie wojna, będzie tak, jak my chcemy, a nie tak, jak chcą oni!

Drodzy przyjaciele! My, delegaci radzieccy, jesteśmy szczęśliwi, że możemy przemawiać z trybuny w tej sali, w wolnej złotej Pradze. Dzisiaj, w ostatnim dniu kongresu w obronie pokoju, mamy pełne prawo stwierdzić, że intrygi podżegaczy wojennych zawiodły jeszcze w jednym punkcie, sromotnie i głupio. Śmieszna próba zerwania wszechświatowego kongresu w obronie pokoju zawiodła.

Szósty dzień, dwie sale: w Paryżu i Pradze, oddychają jedną piersią, mówią jednym językiem, żyją jednym życiem.

Właściwie moglibyśmy nie używać słów „paryska część kongresu", „praska część kongresu", tak jednolite są te dwie jego części. Ale jeśli już mówi się o częściach, to pozwólcie mi powiedzieć parę słów, co to takiego ta nasza praska część kongresu i co stoi za tymi skromnymi z pozoru słowami.

Drodzy przyjaciele! Tutaj, w tej sali, jest reprezentowany przez swoich przedstawicieli miliard prostych ludzi świata.

Oto siedzi delegacja Chin demokratycznych, za plecami której widzę 400-milionowy naród chiński.

Oto siedzi delegacja radziecka. Za jej plecami 200 milionów ludzi radzieckich.

Oto Węgry, Polska, Rumunia, Hiszpania, Grecja. Oto delegaci narodów niemieckiego i austriackiego, oto delegaci Indonezji, przedstawiciele Bułgarii, oto przedstawiciele Czechosłowacji, która okazała gościnność kongresowi, delegaci setek milionów ludzi.

Nie jestem specjalistą od suchej statystyki. Mogę się omylić w liczbach, ale jestem pisarzem i nie omylę się, jeśli powiem, że zajrzawszy w serca narodów mamy prawo uważać każdą z uczestniczących tu delegacji za przedstawicielkę całego narodu swojego kraju.

Tak, oczywiście, jeśli kontynuować suchą statystykę, to możliwe, iż w innych krajach, nie w tych, o których się mówi, nikły procent lub część procentu ludności stanowią podżegacze wojenni i ich zausznicy, ale pozwólcie mi razem z wami nie brać pod uwagę tego procentu, pozwólcie nam uważać, że podżegacze wojenni znajdują się poza narodami, poza prawem, uważać, że mówiąc o narodach możemy nie wymieniać podżegaczy wojennych. Będziemy ich liczyć tylko mówiąc o wrogach.

Ale o wrogach trzeba pamiętać! I walki z nimi nie należy odkładać ani na jeden dzień. Wszechświatowy kongres w obronie pokoju — to nasze zwycięstwo w walce z podżegaczami wojennymi. Jest to tylko pierwsze zwycięstwo, pierwszy krok, w ślad za tym powinniśmy iść dalej. Najprzód powinniśmy opracować plan walki z podżegaczami wojennymi. Musimy potrafić uczynić tak, żeby oni co dzień czuli nasze nieustanne i wciąż rosnące przeciwdziałanie...

I nie ma żadnych wątpliwości, że wspólnymi siłami zrobimy to.

Niech żyje pokój na całej ziemi! Niech żyją jego obrońcy! Niech żyje nasz kongres! Niech będą przeklęci podżegacze wojenni, wrogowie ludzkości!

I niech pamiętają, że my — przyjaciele pokoju — jesteśmy dostatecznie silni i dostatecznie zdecydowani, aby położyć kres zakusom podżegaczy wojennych, naszych wspólnych wrogów!

Konstanty Simonow

JERZY KIERST

POKOJ

To było w taki dzień,
kiedy chmury niebieskie
jak na śniegu narciarza cień,
gdy przylaszczki głęboko we śnie.

Ale śniegu już nie było
(chyba ten zamknięty w jabłoniach)
i błąkała się wśród okien miłość,
żeby złoto do złota jak pszczoła.

Wiało jeszcze po studniach żelazem,
na poddaszach topniały sople,
przybywało dnia i marzeń
kropla po kropli.

* * *

Dołem grała ochrypła blacha,
drżał widnokrąg napięty jak łuk.
Gorzko było — lecz któżby płakał?
Bo cóż łzy jak srebro nut?

Nad gałęzią wiosny
wojna skrzydło stalowe ugina.
werbel nocy głośniej i głośniej
— ciemna przyczyna.

Żeby znowu po nocach eskadry,
które dywan z fosforu rzucą,
żeby znowu płomienie z fabryk
i gaz w żółtych komorach płucom.

Żeby znowu ludzka głowa
o bydlęcy wagon się tłukła,
gdy o szyny — o szyny koła,
górą niebo w plamy jak płótno.

* * *

To było w taki dzień,
kiedy chmury niebiesko-sine
jak hortensji w kwiaciarni sen,
jak w słońcu hiacynty.

Szedł do pracy wtedy Stasiek —
myślał: jutro jaskółki wrócą...
Takie to już powietrze ptasie —
skrzydłem dobrze i dobrze płucom.

Szedł — a dom na rogu wyrastał
i dosięgał powoli chmury,
tej niebieskiej jak cień, gdy narciarz
śnieg i przestrzeń nartami pruje.

Szedł i myślał: żeby to tak z wiosną,
żeby ludzie jak cegła do cegły,
żeby świat wysoko i mocno,
tam gdzie w chmurach słoneczny przeblysk.

Żeby przędzą, która w maszynach
białym wężem po kołach się wije,
wielki sztandar na wiatr rozwinął
w słonecznym pyle.

Szedł do pracy i myślał:
dzień jak złoto, chociaż niebiesko...
Bo to pewno niebo i Wisła...
To od wiatru po łzach obeschło...

Rusztowanie niedługo się zdejmie.
Krawędź pracy wysoko — wysoko...
Żeby wszyscy i każdy dla siebie
pełen słońca miał czysty pokój.

CZESŁAW MIŁOSZ

SZYDERCZA PIOSENKA O PORCELANIE

Różowe moje spodeczki,
Kwieciste filiżanki,
Leżące na brzegu rzeczki
Tam kędy przeszły tanki.
Wietrzyk nad wami polata,
Puchy z pierzyny roni,
Na czarny ślad opada
Złamanej cień jabłoni.
Ziemia, gdzie spojrzysz, zasłana
Bryzgami kruchej piany.
Niczego mi proszę pana
Tak nie żal jak porcelany.

Zaledwie wstanie jutrzenka
Ponad widnokrąg płaski
Słychać, gdzie ziemia stęka,
Maleńkich spodeczków trzaski.
Sny majstrów drogocenne,
Pióra zamarzłych łabędzi
Idą w ruczaje podziemne
I żadnej o nich pamięci.
Więc ledwo zerwę się z rana
Mijam to zadumany.
Niczego mi proszę pana
Tak nie żal jak porcelany.

Równina do brzegu słońca
Miazgą skorupek pokryta.
Ich warstwa, rzeźko chrupiąca
Pod mymi butami zgrzyta.
O świecidełka wy płone
Co radowałyście barwą
Teraz, ach, zaplamione
Brzydką zakrzepłą farbą.
Leżą na świeżych kurhanach
Uszka i denka i dzbany.
Niczego mi proszę pana
Tak nie żal jak porcelany.

ROMAIN ROLLAND

Osiemnaście lat temu...

...Gdy odmawiam przyłączenia się do Paneuropy*) hrabiego Coudenhove-Kalergi i pana Brianda, powoduję się nie utopią „królestwa bożego", które może nadejdzie za dwadzieścia stuleci a może nie nadejdzie wcale. Chodzi mi o ziemię, po której wszyscy stąpamy, ziemię opasaną groźnym i bliskim niebezpieczeństwem wojny. Chodzi o szturmy czekające nas już jutro.

Idealiści-inteligenci, należący do ligi „France — Europe", nie zdają sobie dostatecznie sprawy z tego, co się dzieje. Niechże mi pozwolą przypomnieć o tym! Niech mi wybaczą, jeżeli niektóre moje słowa wydadzą się im szorstkie albo gorzkie! Wynika to z tego, że sam należałem do ślepych i oszukanych i dopiero w ostatnich miesiącach r. 1914 przejrzałem nikczemne kłamstwo, teraz zaś mam — jak sądzę — prawo uchronić przed nim i tych, którzy jeszcze nie widzą.

Od czasu, gdy w wielkich państwach Zachodu i Ameryki — które niegdyś były chorążymi cywilizacji białych — miejsce idei absolutyzmu zajęła ideologia demokratyczna, od tego czasu barbarzyńska i przewrotna siła polityczna, która rządzi światem, poczuła się zniewolona do powoływania się na rzekomą wolę ludów, przez nikogo o nic nie pytanych, jak również na bałamuconą ideologię swoich elit ntelektualnych.

Gdy zaczynała się wojna**) między dwiema połówkami Europy, jeden i drugi obóz, aby zamaskować haniebne umowy, dotyczące podziału świata, (zabory terytorialne i businessy), swoje grabieże i zbrodnie, zabiegał o głos szlachetnych, o głos, który by piał hymny o ojczyźnie, i o wzniosłej ofiarności, o heroicznej rozkoszy niszczenia. Nie musiały długo zabiegać. Wiem, jak szczerze, z jakim samozaparciem najlepsi intelektualiści naszego nieszczęśliwego Zachodu spełniali tę misję. Jakie rozpaczliwe otchłanie na ołtarzu Moloch rozwarły się w światku uniwersyteckim, pośród moich wczorajszych kolegów! Ale wiem również, jak byli oni oszukani i ilu ludzi z kolei sami oszukali.

Czy mogli postąpić inaczej? W tych czasach, gdy ja sam, z trudnością i bólem, wyzwalałem się stopniowo od złudzeń, które pętały moją młodość (kłamliwość historii oficjalnej, kłamliwość konwencyj narodowych i społecznych, kłamliwość tradycyj i państwa) i dopiero ze wzruszeniem zaczynałem wnikać w odpowiedź, jaką ludy powinny dać swym rządom — w tych czasach nie śmiałem się jeszcze wypowiedzieć. Czynię to teraz. Ta odpowiedź, niosąca ludzkości wyzwolenie, to odpowiedź Lenina z roku 1917...

... Lecz nie mówmy o dniu wczorajszym. Wystarczy nam teraźniejszość. Pomówmy o wielkim i strasznym dniu dzisiejszym!...

×

Szlachetni intelektualiści Francji współczesnej, których koryfeuszem jest Gaston Rioux***), śpiewają teraz na nową nutę: „Europo, ojczyzno moja"... Nie zauważyli nawet, że znów usłużą interesom przewrotnych władców dnia dzisiejszego..'

...„Przesłanką „europejczyków" Zachodu jest, rzecz prosta, zabezpieczenie trwałego pokoju na Zachodzie — w drodze porozumienia francusko-niemieckiego. Jest to, ma się rozumieć, olbrzymie zadanie; sam zawsze pracowałem nad jego urzeczywistnieniem. Lecz jest to zadanie częściowe. Ażeby wypowiedzieć myśl moją do końca: ta sprawa nie jest już podstawowym zagadnieniem naszych czasów. W chwili obecnej zatarg francusko-niemiecki nie jest już głównym niebezpieczeństwem.

...Więcej niż rok temu demaskowałem bezwzględnie w czasopiśmie „l'Europe" („Korsarze w czasie pokoju" — „l'Europe", listopad 1929 r.) trwające od kilku lat tajne konszachty pomiędzy Arnoldem Rechbergiem, niemieckim magnatem potasowym a aferzystami, wygrywającymi nacjonalizm francuski, — te niesamowite projekty (potwierdzone publicznie przez samego Rechberga) francusko-niemieckiego sojuszu wojennego, zmierzające ku odbudowie niemieckiego przemysłu wojennego, pod warunkiem udziału kapitanów przemysłu francuskiego w zyskach. W chwili obecnej rokowania te prowadzone są

(Dokończenie na stronie siódmej)

*) La Nouvelle Revue Mondiale, czasopismo Międzynarodowego Zrzeszenia Pisarzy Demokratycznych ogłosiło ankietę na temat Paneuropy. W jednym z numerów tego pisma znajdujemy odpowiedź Romain Rollanda, którą podajemy tu w wyjątkach.

**) Mowa tu o pewnej wojnie imperialistycznej.

***) Autor artykułu w Nouvelle Revue Mondiale, otwierającego ankietę. (przyp. red.).

JANUSZ BOGUCKI

MEKSYKAŃSKI MORAŁ

Na tle naszych mądrych postulatywnych dyskusji poszukujących recepty na realizm, ludową komunikatywność i rewolucyjne uspołecznienie sztuki bardzo niezwykłe wrażenie czyni wystawa grafiki meksykańskiej, którą oglądałem na pierwszym jej popasie w Muzeum Wielkopolskim w Poznaniu. Niezwykłość owego wrażenia wynika stąd, że grafika meksykańska w sposób całkowicie bezpośredni i naturalny spełnia wyżej wymienione postulaty: jest niewątpliwie ludowa i rewolucyjna, a jej jaskrawy realizm przerasta siłą wyrazu mdłe i grzeczne pojęcie komunikatywności. Przy tym wszystkim grafika ta jawnie i zdecydowanie nowoczesna urąga wszelkim muzealnym kompromisom, do których niekiedy usiłują nas namawiać ludzie dobrej woli i małej wyobraźni.

Z tych wstępnych uwag nie wynika wcale, abym w pracach kilkunastu dobrych grafików meksykańskich upatrywał jakiegoś oczekiwanego przez nas objawienia czy też generalnego remedium na trapiące naszą plastykę dolegliwości. Zbyt odmienne warunki społeczne i historyczne kształtują sztukę Meksyku i naszą, zbyt różnimy się treścią tradycji lokalnych i rozwoju cywilizacji, by można było mówić o jakimś bezpośrednim przesadzaniu meksykańskiej plastyki na polską grzędę. Niemniej sądzę, że wspaniała żywotność czy nawet żywiołowość sztuki tamtejszej, jej odwaga, siła i prostota mogą nam powiedzieć wiele i przekazać niejedną wartość zarówno z dziedziny warsztatu artystycznego, jak i ożywiających go treści.

Pozostawiając autorom wermisażowych recenzji dokładniejszą prezentację poszczególnych nazwisk i pozycji na omawianej wystawie, spróbuję zawartość jej określić raczej sententycznie, do czego upoważnia fakt, że wystawiający artyści stanowią zespół zwarty i nieprzypadkowy, związany zarówno wspólnotą ideową, jak wspólnotą warsztatu pracy*).

Wspólnota owa, polegająca m. i. na zbiorowym wykonywaniu większych zadań ilustratorskich, ujawnia się zarówno w wyborze motywów tematowych, jak techniki i formy graficznej. Temat i treść, to życie ludu meksykańskiego, jego nędza i niedola oraz walka rewolucyjna, wymierzona przeciw bezwzględności i przemocy władającej krajem plutokracji. Okrucieństwo losu ludzi udręczonych nędzą i wyzyskiem i patos walki wyzwoleńczej, oto dwie wielkie sprawy, które wypowiada sztuka grafików meksykańskich. Trzeci motyw treściowy, przenikający niejako dwa poprzednie, to namiętna i surowa miłość ziemi ojczystej, jej obyczaju i historii, jej okrucieństwa i piękna. Nie przypadkiem używam raz po raz słowa okrucieństwo. Określa ono buiną i groźną przyrodę Meksyku, określa bogatą i krwawą jego historię, określa niedolę i walkę widzianą oczami ludu i oczami jego artystów. Drapieżny realizm ich widzenia, w którym trudno oddzielić tradycje hiszpańskie od lokalnych, ma w sobie również pewien rys okrucieństwa ,który chłodną bystrość relacji łączyć umie z ekspresją gwałtowną i namiętną. W sztuce tej nie ma cienia sentymentalizmu uczuciowego i estetycznego. Właściwa jej pasja ilustratorska i publicystyczna zdaje się wiązać w sobie wskrzeszone dziedzictwo rzeźby staroamerykańskiej i cyklów graficznych Goyi. Dziedzictwo to rozwija się nie w następstwie szperania za tradycjami, ale jako naturalny wyraz skłonności stylistycznych sztuki, związane z jej podłożem społecznym i narodowym. Te elementy tradycji artystycznej nasycają głęboko i równomiernie organizm dzisiejszej sztuki Meksyku, powstałej z naturalnej symbiozy wątków historycznych, ludowych i nowoczesnych. Szczerość i siła tej symbiozy wynikła bez wątpienia ze wspólnoty rewolucyjnej postawy ludu i artystów. Działalność „Talleru" stanowi, jak stwierdza Norbert Fryd — rozwinięcie tradycji druków jarmarczno-ludowych, której ostatnim, na poły „naiwnym" jeszcze, przedstawicielem był rytownik ilustrator Jose Posada (+1913). Surrealizm, ekspresjonizm, skłonność do silnego syntetyzowania formy i kompozycji i świadomego użycia wartości fakturalnych — oto nowoczesne elementy tej sztuki. Elementy te wszakże nie stanowią wartości samoistnych, żyjących w estetycznym oderwaniu, jak to dzieje się np. zwykle z zachodnio-europejskim surrealizmem. Niesamowitość, ekspresyjność i świadome syntetyzowanie formy ma tutaj wyraźne odpowiedniki zarówno w obu nurtach tradycji narodowej, jak w żywiole ludowości i naiwnego realizmu. Te nieprzypadkowe pokrewieństwa pogłębione związkiem ideowym artystów i ludu meksykańskiego sprawiają, że twórczość „Talleru" bije nurtem bystrym i zwartym, splatając w sobie mocno pozornie odległe wartości współczesne, historyczne i prymitywne. Jakże się to wszystko formuje i układa w praktyce twórczej zespołu i poszczególnych artystów?

Techniką używaną najczęściej jest drzeworyt, operujący energiczną wrażeniową kreską i plamą o dużym zacięciu ekspresjonistycznym. Ta mało zróżnicowana technicznie a dosadna w wyrazie forma występuje przede wszystkim w wielkim cyklu popularnym, poświęconym dziejom rewolucji meksykańskiej, oraz w agitacyjnych drukach graficznych, związanych z walką strajkową i satyrą polityczną. Prace te cechuje prosta, często plakatowa metafora plastyczna, brutalna i zwięzła siła charakterystki, ostra zjadliwość pamfletu, surowy realizm i gniewny patos sprawiedliwej walki. Technikę malarsko-ekspresyjną stosuje Leopold Mendez w swym cyklu dużych plansz drzeworytniczych, w których snopy i kłęby iskrzącej się białej kreski przypominają często „płomienistą" fakturę Van Gogha. Siłę wyrazu osiąga Mendez nie tylko niesamowitością faktury i światłocienia, ale również gwałtownymi skrótami perspektywy, która od wielkich pierwszoplanowych postaci opada nagle ku dalekim i groźnym przestrzeniom pustej ziemi.

Realizm scen mówiących o nędzy i zbrodni, tęsknocie i walce, nabiera tu wymiarów wielkich i bohaterskich, układając się w jakiś mityczny epos ludowo-rewolucyjny. Tę wielkość widzenia potrafi Mendez wydobywać nie tylko z tematów bojowych i groźnych („Władca wszystkiego", „Pragnę", „Ziemia pije krew"), ale i ze scen przedstawiających niedolę dzieci i kobiet i udział ich w walce zbuntowanego ludu („Pierwsze światła", „Samotność").

Mendez, zachowując wszędzie ten monumentalnie dramatyczny charakter obrazu, nie ogranicza się bynajmniej do opisanej tu formy graficznej. Repertuar chwytów technicznych i kompozycyjnych tego artysty jest bardzo rozległy i ukazuje zależnie od tematu i założenia graficznego coraz to inne walory wiedzy i pomysłowości drzeworytnika, który z równą pewnością wypowiada się w swobodnie ciętej realistycznej kompozycji, jak w misternych ilustracjach o założeniu bardziej dekoracyjnym. Sądzę, że słusznie poświęcam więcej uwagi pracom Mendeza, właściwy mu bowiem sposób widzenia postaci ludzkiej, rewolucyjny charakter tematyki i technika cięcia w drzewie określają w dużym stopniu styl pracy i krąg zainteresowań jego współtowarzyszy.

Ich prace drzeworytnicze, podobnie jak u Mendeza, mimo dużego zróżnicowania gatunków cięcia, zachowują ekspresyjną zwartość uproszczonych form, wśród których postać ludzka jest zawsze prawie elementem pierwszoplanowym. Drzeworyt reprezentuje też najmocniej tematykę o bezpośrednim sensie bojowo-politycznym, ku czemu niewątpliwie najbardziej przydatna jest ta technika, która ostrymi akcentami dwuwalorowej plamy wyrażać może nawet hasła, okrzyki i wezwania propagandy rewolucyjnej. Niejednokrotnie taka właśnie najprostsza forma drzeworytu rozpowszechniana była masowo na drukach i ulotkach agitacyjnych, co w kraju o wysokim procencie analfabetów było sprawą o dużym praktycznym znaczeniu. Życie powszednie ludu meksykańskiego, jego obyczaje i tradycje historyczne, graficy wyrażają najchętniej w miękkiej kredce litograficznej, która obok „rewolucyjnego" drzeworytu stanowi drugi rodzaj techniki powszechnie uprawianej. Prace litograficzne zachowując tę samą co w drzeworytach syntetyczność formy, są jednak od nich zwykle bardziej zrównoważone kompozycyjnie, osiągając nierzadko hieratyczną dostojność układu właściwą sztuce sakralnej cywilizacji starożytnych. Hieratyczność ta wszakże nie wiąże się z ornamentalnym usztywnieniem kształtów, przeciwnie nacechowana jest mocnym i sugestywnym realizmem postaci i sytuacji. Zwartość i statyczność form nie zmierza tu ku abstrakcji, lecz wzmacnia dynamikę tematu. Wyraża ona ukształtowany w ciągu stuleci związek ludu z ziemią i pracą, siłę i upór prostego człowieka, zmagającego się z powszednim losem. W stopniu większym jeszcze niż drzeworyt, ta technika rysunkowa uwydatnia związek grafiki amerykańskiej z lapidarną dramatycznością akwafort Goyi. Przypomina go nawet typ fizyczny postaci ludzkich: ich przysadzista szeroka budowa i zwięzły sylwetowy sposób rysowania. Najbardziej charakterystyczne dla omawianego typu litografii kredkowej są prace: Dosamentesa („Kuchnia Mayów" i „Kobiety ze szczepu Mayów"), Arenala („Głowa Indianki" i „Pogrzeb"), Morado („Siedzący zmarły człowiek"), Angiano („Ponieważ błyszczysz" i „Ilustracja przysłowia"), Zalce i Yampolsky. Prace tych artystów odznaczają się monumentalnością i niekiedy rzeźbiarską prawie siłą określania formy. Obie te cechy spokrewniają je wyraźnie z charakterem meksykańskiego malarstwa ściennego, które znamy dotąd niestety tylko z dość mizernych reprodukcji.

Nieco odmienny, bardziej malarski styl litografii reprezentują O'Higgins (pełne ekspresyjnego rozmachu postaci robotników) i Ocampo, który niespokojną linearność łączy z bogatą grą wartości fakturalnych (litografia „Szlifierz" oraz „Fakir" i „Głowa kobiety" wykonane mistrzowską techniką suchej igły).

Osobną pozycję stanowią litografie Francisko Mora, częściowo kredkowe, częściowo przypominające rysunek piórem. W przeciwieństwie do swych towarzyszy, którzy siłę wyrazu osiągają przez zwięzłość kompozycji, ograniczonej do kilku mocnych akcentów — Mora rysuje sceny zatłoczone mnóstwem postaci. To założenie formalne odpowiada tematyce prac Mory, który nie heroizuje — jak inni — ludu w jego walce i pracy, lecz z pasią piętnuje nędzny byt miejskiego proletariatu, żyjącego w biedzie i upodleniu (sypialnia szkoły rolniczej, jadalnia, na galerii, bar, prostytutki). Te tłoczne sceny pełne przykrego i brutalnego realizmu są jednak skomponowane z wielką siłą bądź dzięki rytmicznemu układowi różnych elementów, bądź przez wydobycie pewnych partii rysunku ostrą plamą światła.

Relacja ta, jakkolwiek bardzo niezupełna, daje — jak sądzę — ogólny przegląd i charakterystykę tego, co na omawianej wystawie jest najistotniejsze. Trzeba jeszcze dodać, że Muzeum Wielkopolskie przygotowało wystawę w sposób pomysłowy i staranny. Dekorację sal stanowiły okazałe agawy, charakterystyczne, zarówno dla pejzażu meksykańskiego, jak i dla związanej z nim plastyki. Dobrym pomysłem było dołączenie do grafiki licznych fragmentów rzeźby staroamerykańskiej, wskazującej jeśli nie na świadome związki formy artystycznej, to w każdym razie na wspólne podłoże etniczne tych dwóch tak bardzo od siebie odległych okresów sztuki. Jakkolwiek zbyt szczupły jest obustronny materiał eksponowany, by na tym zestawieniu opierać jakieś istotniejsze wnioski porównawcze — często daje się stwierdzić niewątpliwe podobieństwo charakteru, a nawet i sposobu określania formy w głowach archaicznych posążków i dążących do rzeźbiarskiego zamknięcia kształtu podobiznach współczesnych ludzi. Jest w tym podobieństwie dziwna wymowa dziejów kultury, które czerpiąc z trwałego, mimo zmian i wstrząsów, podłoża ludowego, ukazują nam tę samą twarz ludzką ongiś tkwiącą w zawiłym wzorze pełnego symboliki idealizmu, a dziś rzeźbioną realnymi namiętnościami pracy i walki o lepszy byt człowieka.

✚

Na zakończenie chciałbym określić pokrótce to, co wydaje się w wystawie grafiki meksykańskiej istotne dla naszej dyskusji o plastyce nowoczesnej. W kilku poprzednich swych wypowiedziach starałem się określić dwoisty charakter tej plastyki, polegający na antynomii zawartych w niej pierwiastków schyłkowych i konstruktywnych. Starałem się również wskazać na teoretyczne i praktyczne drogi wyjścia z tej sprzeczności, na których zatracając inklinacje formalistyczne, plastyka dzisiejsza mogłaby rozwinąć swe zdobycze pozytywne w oparciu o nową twórczą treść naszego życia. Grafika meksykańska jest żywym przykładem tak rozumianego przewartościowania zdobyczy nowoczesnej plastyki. W zdobyczach tych bowiem artyści „Talleru" nie widzą fetyszów „czystej" formy, ale narzędzia i materiał używany w wyborze zależnym od charakteru podejmowanych zadań. Zadań zaś nie szukają w bezludnych głębiach neurastenicznej wyobraźni, lecz w mocnym i powszednim związku z życiem swego narodu i jego postępowych dążeń. To właśnie sprawia, że elementy nowoczesne w ich pracach nie są powierzchownym nalotem, lecz wiążą się organicznie z dziedzictwem historycznym i tradycjami ludowymi sztuki dzisiejszego Meksyku. Chwyty ekspresjonistyczne i surrealistyczne nie służą tu do zdumiewania i łaskotania osób znużonych i wyrafinowanych; wyrażają one niesamowitość, grozę, gniew i rozpacz ludzi rzeczywistych, którzy naprawdę cierpią i naprawdę walczą. Syntetyzowanie kształtu nie zmierza tu do abstrakcyjnego uogólnienia, lecz do spotęgowania wizji realistycznej, do eliminacji balastu spostrzeżeń nieistotnych dla treści dzieła. Niechaj te zwięzłe przykłady wystarczą za dowód, że wartości sztuki nowoczesnej nie są same w sobie bakcylami formalizmu, że o sensie ich decyduje sposób ich użycia, związanie ze schyłkową lub twórczą treścią ideową. Graficy meksykańscy dowodzą każdym pociągnięciem rylca i kredki, że wartości te wzmacniają rewolucyjną treść i realistyczną siłę widzenia, zawartą w ich pracach. Prace te są jednym jeszcze świadectwem, że dzisiejsza droga do realizmu prowadzi przez twórcze przewartościowanie osiągnięć plastyki współczesnej i naturalne ich związanie z właściwą każdemu narodowi tradycją sztuki historycznej i ludowej. Prace te są równocześnie ostrym zaprzeczeniem wszelkich beznadziejnych i bezdzietnych prób wymęczania lękliwej „komunikatywności" „narodowego charakteru" wprost wedle recept muzealnych.

Omawiana wystawa przy wszystkich wymienionych zaletach nie stanowi bynajmniej jednolitej kolekcji arcydzieł. Obok licznych pozycji niewątpliwie wybitnych, na które starałem się zwrócić tu uwagę, zawiera ona wiele prac, które w całości pokazanego materiału określić można jako przeciętnie dobre. Nie umiałbym jednak wskazać rzeczy chybionych, w których zamierzenie mija się z wykonaniem. To właśnie stanowi o wartości całej wystawy: nie reprezentuje ona zjawiska niezwykłego i wyjątkowego w swym oderwaniu, lecz rozległy nurt zdrowej i dobrej sztuki dający siłę i dojrzałość również artystom prawdziwie dużej miary.

Z tej normalności rozwoju, opartego o rozległe podłoże społeczne, wynika żywotność i siła owej sztuki, a sądzę, że również wartość przekonywająca sformułowanego tutaj morału meksykańskiego dla nas.

Janusz Bogucki

*) W ramach stowarzyszenia Taller de Grafica Popular, tj. Warsztat Grafiki Ludowej.

Raul Anguiano — „Ponieważ błyszczysz..."

Leopoldo Mendez — Głód w Meksyku w 1914-15 r. (Z albumu „Rewolucja Meksykańska")

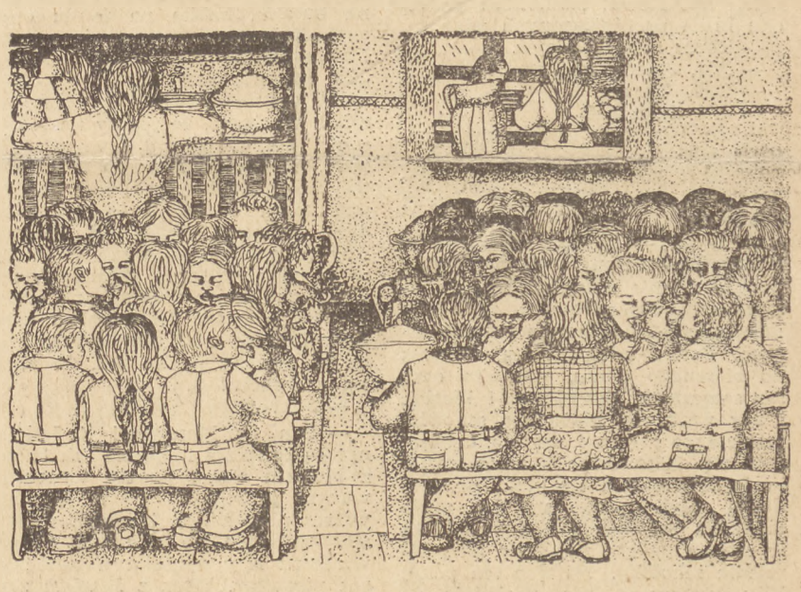

Francisco Mora — Jadalnia

Francisco Dosamantes — Kobiety ze szczepu Mayów

NAGRODA LITERACKA »ODRODZENIA«

Pragnąc przyczynić się do ożywienia twórczości literackiej Spółdzielnia Wydawniczo-Oświatowa „Czytelnik" ustanowiła coroczną nagrodę „Odrodzenia". Nagrodę tę przyznawać się będzie każdego roku w dniu 22 lipca, w dniu święta Odrodzenia Polski, za najwybitniejszy tom prozy (powieść, opowiadania, krytyka, wspomnienia) ogłoszony drukiem po 1. IX. 1939 r. W ubiegłym roku nagrodę otrzymał Jerzy Andrzejewski za powieść „Popiół i diament"

Podajemy składy jury tegorocznej nagrody „Odrodzenia":

Jerzy Andrzejewski, Tadeusz Breza, Zofia Dembińska, Jarosław Iwaszkiewicz, Karol Kuryluk, Zofia Nałkowska, Stefan Żółkiewski.

Wysokość tegorocznej nagrody wynosi zł **250.000**

WILLIAM FAULKNER

przełożył ARTUR SANDAUER

ELLY

Drewniana balustrada, obrębiająca stromą przepaść, wyglądała jak zabawka dziecięca. Jej nitkowata linia, idąca wzdłuż zakrętu drogi, biegła obok samochodu jak lekka mgiełka. Po czym, niespodziewanie — niby ucięta nożycami wstążka — zachybotała wstecz i znikła.

W tej chwili minęli słup milowy, pierwszy słup: „Mills City, 6 mil." „Jesteśmy już prawie na miejscu. Teraz już za późno" — myślała Elly spoglądając z głębokim i nieprzepartym osłupieniem na profil siedzącego obok niej Pawła — z rękoma na kierownicy, z oczyma utkwionymi w mknącym pasmie gościńca. „Więc jakim sposobem mam cię nakłonić, abyś się ożenił ze mną?" — rzekła głośno, myśląc równocześnie: „Był na tym polu chłop, który orał. Patrzył na nas, kiedyśmy wychodzili z lasu, ja i Paweł z kocem i kiedyśmy wsiadali z powrotem do wozu".

Myślała o tym spokojnie, luźno, z pewnym roztargnieniem; było bowiem coś, co przyćmiewało te myśli. „Coś strasznego, o czym zapomniałam" — pomyślała patrząc na mijające szybko słupy milowe — coraz liczniejsze w miarę, jak zbliżali się do Mills City. „Coś przerażającego, o czym przypomnę sobie za chwilę". Po czym rzekła spokojnie: „Wobec tego nie mogę już teraz zrobić nic więcej, prawda?"

— Nie — rzekł Paweł patrząc na nią. — Nic więcej.

Wtedy przypomniała sobie to, co jej wyleciało z pamięci. Pomyślała o babce, przypomniała sobie ze spokojną i otępiałą konsternacją tę staruszkę — o słuchu przytępionym, o oczach lodowatych i wszechobecnych, która czekała na nią w Mills City. „Jakże mogłam o niej zapomnieć? Jak mogłam? Jak?"

Miała lat osiemnaście. Mieszkała w Jefferson, o dwieście mil stąd, z ojcem, matką i babką, w willi dosyć rozległej. Dom miał głęboką, pokrytą dzikim winem i nieoświetloną werandę. Tu w ciemności spędzała prawie każdy wieczór, na wpół leżąca, za każdym razem w towarzystwie innego mężczyzny. Byli to najpierw chłopcy i młodzi ludzie z miasteczka, później zaś byle przybłęda, który zatrzymał się w mieście i nie wyglądał zbyt niekorzystnie Nie chciała nigdy pojechać z nimi na wieczorną przejażdżkę samochodem; jakkolwiek chłopcom wydawało się, że odgadują powód odmowy, mimo to nie tracili nadziei — aż do chwili, gdy zegar ratuszowy wydzwaniał jedenastą. Wówczas, w ciągu dalszych pięciu minut (oni, którzy od godziny co najmniej nie wypowiedzieli ani słowa) zamieniali po cichu kilka przyśpieszonych zdań.

— Teraz musisz odejść.

— Nie. Jeszcze nie teraz.

— Tak. Teraz.

— Ale dlaczego?

— Bo tak. Bo jestem zmęczona. Chcę spać.

— Aha! Rozumiem! Wszystko dobrze, tylko dziecka nie chcesz. Prawda?

— Może. — Trwała zaczajona w ciemności, sztuczna i — jakkolwiek jeszcze się nie ruszyła z miejsca — nieobecna, zamaskowana ze swym uśmiechem tajemniczym i hamowanym. Potem oddalała się, wracała do ciemnego domu, wznosiła oczy ku samotnemu kwadratowi blasku, który padał na platformę schodów pierwszego piętra i nagle przeobrażała się całkowicie. Znużona, mijała teraz krokiem staruszki otwarte drzwi oświetlonego pokoju, gdzie siedziała sztywno babka z książką w ręce, z twarzą zwróconą ku platformie schodów. Mijając ten pokój Elly zazwyczaj nie zaglądała do wnętrza. Czasem jednak robiła to. Wtedy przez krótką chwilę ich spojrzenia krzyżowały się: staruszka — lodowata i badawcza; młoda — wyczerpana, rozbita, z twarzą skurczoną, z oczyma ciemnymi i rozszerzonymi, pełnymi bezsilnej nienawiści. Potem szła dalej, wstępowała do swego pokoju, stała przez chwilę oparta o drzwi, nasłuchiwała, jak babka gasi światło. Czasem popłakiwała w milczeniu, szepcząc z rozpaczą: „Stara dziwka! stara dziwka!" Potem przestawała. Rozbierała się, patrzyła na swoją twarz w lustrze, badała wargi swe, bez szminki, matowe (tak przynajmniej sądziła) zmęczone, zużyte pocałunkami i pomyślała: „Boże mój! Pocóż ja to robię? Co mi jest właściwie?" Mówiła sobie, że jutro będzie znów musiała wytrwać pod spojrzeniem staruszki, ze śladami wczorajszego wieczoru na wargach jak sińcami, przeniknięta uczuciem pustki i zniechęcenia do życia, głębszym jeszcze od wściekłości i manii prześladowczej, która ją trawiła.

Pewnego popołudnia poznała u jednej ze swych przyjaciółek Pawła de Montigny. Kiedy odszedł, dziewczęta zostały same. Spojrzały na siebie spokojnie, jak dwie nieprzyjaciółki, oczyma na wpół przymkniętymi.

— A więc podoba ci się, prawda? — rzekła przyjaciółka. — Masz zabawny gust, wiesz?

— Kto taki? — spytała Elly. — Nie wiem, o kim mówisz.

— Doprawdy? — rzekła przyjaciółka. — Nie spojrzałaś więc na jego włosy. Wyglądają jak welniany czepek. Jak bazie.

Elly spojrzała na nią.

— O czym mówisz? — rzekła.

— O niczym — rzekła tamta. Rzuciła szybkie spojrzenie na korytarz, po czym wyjęła papierosa z kieszeni bluzki i zapaliła. — Nie jestem pewna. Mówiono mi tylko o tym. Zdaje się, że stryj jego zabił swego czasu kogoś, kto mu wypomniał krew murzyńską.

— Kłamiesz — rzekła Elly.

Koleżanka wypuściła kłąb dymu z ust. — Jak wolisz. — Zapytaj babki o informacje co do jego rodziny. Przecież ona też mieszkała swego czasu w Luizjanie.

— Co ty wygadujesz? — rzekła Elly. — Tyś go przecież sama zaprosiła do siebie.

— Ale ja przynajmniej nie chowałam się w spiżarce, żeby się z nim całować.

— Nie — rzekła Elly — ale to by ci nie sprawiło wielkiej przykrości.

— W każdym razie nie zrobiłabym tego, zanim byś ty się stąd nie wyniosła — rzekła koleżanka.

Tego wieczoru umieściła się Elly wraz z Pawłem na werandzie, opiętej dzikim winem. Ale tym razem ona właśnie była o godzinie jedenastej nerwowa i niespokojna.

— Nie! Nie! Proszę cię o to. Proszę.

rys. Maria Hiszpańska

— Więc jutro?

— Nie. Ani jutro ani nigdy.

— Tak. Jutro.

Tym razem mijając pokój babki nie zajrzała do wnętrza. Nie oparła się o drzwi swego pokoiku, aby się wypłakać. Była zdyszana i, oparta o nie, mówiła głośno z lekkim poczuciem triumfu: „Murzyn, Murzyn. Ciekawa jestem, co by zrobiła, gdyby się o tym dowiedziała".

Nazajutrz po południu Paweł wszedł na werandę. Elly siedziała na bujaku, babka na fotelu obok niej. Dziewczyna wstała i przyjęła Pawła, stojąc u szczytu schodów. „Po coś przyszedł tutaj? — rzekła. — Po co?" — Potem odwróciła się i miała wrażenie, że patrzy na siebie samą, jak go prowadzi ku starszej pani, siedzącej sztywno i prosto, sztywno i nieubłaganie, w swoim tajemniczym odosobnieniu, zaludnionym widmami przeszłości, których Elly prawdopodobnie nie umiałaby w danej chwili ani wymienić, ani wyliczyć i które mogłyby na dobrą sprawę posiadać jedne tylko usta. Pochyliła się nad nią, krzycząc ostrym głosem: — To pan de Montigny, babciu!

— Jak?

— Pan de Montigny! Z Luizjany! — zawołała i ujrzała jak babka z biustem wciąż jeszcze wyprostowanym przechyliła się gwałtownie wstecz niby żmija, która chce ukąsić. To było po południu. Tegoż wieczoru Elly opuściła werandę po raz pierwszy. Wraz z Pawłem znaleźli się pośród gąszczu trawnika. Przez jedną chwilę w tajemniczej i gęstej ciemności Elly była jak gdyby opętana; krew jej kipiała z rozpaczy, z radości, a także z satysfakcji, szepcąc wewnętrznie w chwili, gdy się oddawała. „Chciałabym, żeby ona tu była i widziała! Chciałabym, żeby ona tu była i widziała!", gdy nagle coś — (nie usłyszała nawet szelestu) — ją tknęło. Zrobiła ruch gwałtowny i niezgrabny, aby się ocknąć. Babka stała tuż poza i ponad nimi. Kiedy nadeszła? Od jak dawna była tutaj? Nie wiedzieli. Stała bez słowa, ślęcząc nieskończony i groteskowy epilog: Pawła, który się oddalał bez pośpiechu i Elly, która się podnosiła, myśląc tępo: „Przyłapano mnie na grzechu, zanim zdążyłam zgrzeszyć". Znalazła się potem w swoim pokoiku, oparta o drzwi, tłumiąc oddech, nasłuchując stąpania babki po schodach, by odgadnąć, czy idzie do pokoju ojca. Ale kroki starszej pani zatrzymały się u drzwi jej własnego pokoju. Elly podeszła do łóżka, rzuciła się na nie w ubraniu, wciąż jeszcze zadyszana, czując jak krew nadal kipi w jej żyłach. „A więc jutro — pomyślała — powie mu jutro". Potem zaczęła się kręcić i przewracać z boku na bok. „Nie miałam nawet czasu zgrzeszyć — myślała drżąc z osłupienia i z żalu. — Ona sądzi, żem to zrobiła i powie mu, żem to zrobiła, a ja wciąż jeszcze jestem dziewicą. Popchnęła mnie do tego, a potem przeszkodziła w ostatniej chwili": Trwała tak leżąc, ubrana, ze słońcem w oczach. „A więc rano — myślała ponuro — Boże mój! Jak mogłam? Jak mogłam? Nie chcę już żadnego mężczyzny. Nie pragnę już niczego".

Oczekiwała w jadalni ojca, który schodził tu na śniadanie. Nie powiedział jej nic. Widocznie o niczym nie wiedział. „Może powiedziała matce" — pomyślała Elly. Ale po chwili matka ukazała się również i wyszła na miasto, nie powiedziawszy jej ani słowa. „A więc, to nie ma być dzisiaj rano" — pomyślała na schodach. Drzwi do pokoju babki były zamknięte. Kiedy je otworzyła, ujrzała babkę siedzącą w łóżku i czytającą gazetę; podniosła oczy, lodowate, spokojne, niewzruszone, na Elly, która krzyczała jej do ucha w opustoszałym domu: „Co mam robić innego w tym nudnym i zamarłym mieście? Będę pracowała. Nie chcę próżnować. Znajdź mi tylko pracę, jakąkolwiek, gdziekolwiek, byle by to było dość daleko, byle bym nigdy nie słyszała nazwy Jeffersonu". Dla babki Elly nazywała się Ailanthia, jakkolwiek od lat bez mała piętnastu starsza pani nie dosłyszała ani imienia własnego ani imienia swej wnuczki ani czyjegokolwiek — chyba tylko wtedy, kiedy Elly krzyczała jej do ucha tak, jak to czyniła obecnie. „Wczoraj nic się nie stało. Nie wierzysz mi? Ale to jest prawda. Nic się nie stało. Miałabym przynajmniej teraz coś, coś..." Ale tamta patrzyła na nią niewzruszonym, zastygłym, nieubłaganym spojrzeniem głuchych. „Dobrze — zawołała Elly — wobec tego wyjdę za niego. Czy będziesz zadowolona?"

Tego popołudnia spotkała Pawła na mieście. „Czy wszystko przeszło spokojnie wczoraj wieczorem? — zapytał. — Ale o co chodzi? Czy...

— Nie, Pawle, ożeń się ze mną". Znajdowali się w aptece, na wpół zakryci kontuarem, jakkolwiek lada chwila ktoś mógł pojawić się z tyłu. Tuliła się doń z twarzą bladą i skurczoną, z umalowanymi wargami, które przypominały wściekłą ranę. „Ożeń się ze mną albo będzie za późno, Pawle".

— Ja się nie żenię — odrzekł.

— No, uspokój się.

Przytuliła się do niego kusząco. Głos jej był bez odcieni, naglący.

— Omal że nie zrobiliśmy tego wczoraj wieczorem. Jeśli ożenisz się ze mną, zrobię to.

— Zrobisz to, hm? Wcześniej czy później?

— Tak. Zaraz. Kiedykolwiek.

— Bardzo żałuję.

— Nawet jeśli zgodzę się, żeby zaraz?...

— No, no, uspokój się.

— Ach, rozumiem dobrze. Ale nie wierzę. I boję się nawet próbować cię zrozumieć. — Zaczęła płakać. Paweł przemówił głosem, w którym czuć już było lekkie rozdrażnienie.

— No, przestań, mówię ci!

— Tak. Dobrze. Przestanę. Więc odmawiasz mi? Będzie za późno, mówię ci.

— Nie, do diabła. Nie mam zwyczaju się żenić. Oświadczam ci to.

— Dobrze. No, to do widzenia. Na zawsze.

— I mnie również odpowiada to całkowicie. Jeżeli zaś myślisz o tamtym... Jeśli się zobaczymy kiedykolwiek, dowiesz się, co to znaczy. Tylko bez małżeństwa. I następnym razem będę uważał, abyśmy nie mieli świadków.

— Nie będzie następnego razu — rzekła Elly.

Nazajutrz wyjechał. Następnego tygodnia dzienniki Memphisu przyniosły wiadomość o zaręczynach Elly. Narzeczonym jej był młody człowiek, znajomy z dzieciństwa, pomocnik kasjera w banku, któremu przepowiadano, że dojdzie do stopnia dyrektora, młodzieniec poważny i stateczny, charakteru i obyczajów nienagannych. Nadskakiwał jej nieomal od roku ze spokojnym formalizmem. Co niedzieli przychodził na kolację, a ilekroć — w odległych odstępach czasu — objazdowe teatry odwiedzały miasteczko, kupował bilety dla niej, dla matki i dla siebie. Gdy przychodził — nawet i po zapowiedziach — nie przesiadywał z nią w ciemności na bujaku. Być może, nie wiedział, że ktokolwiek siadywał tam przed nim. Teraz nikt już tu nie siadał i Elly spędzała jednostajne dni w otępieniu i ciszy. Czasem wieczorami popłakiwała z lekka, ale zdarzało się jej to nie często. Od czasu do czasu spoglądała na swe wargi w lustrze i płakała w milczeniu ze spokojną rezygnacją zrozpaczonych. „W każdym razie — myślała — będę mogła żyć teraz w spokoju. Będę mogła trawić resztę swego życia na umieraniu z równym spokojem, jak gdybym już umarła".

Pewnego dnia, bez uprzedzenia — babka — jak gdyby i ona zawarła zawieszenie broni i skapitulowała — wyjechała do Mills City w odwiedziny do swego syna. Po tym odjeździe dom — jakby babka była w nim rzeczywiście jedyną osobą żyjącą — wydał się bardziej przestronny i opustoszały niż kiedykolwiek. Przychodziły teraz codziennie krawczynie, które szyły wyprawę, ale Elly miała wrażenie, że się porusza w jakiejś nicości pozbawionej sensu i celu. Wędrowała przez puste pokoje, z których każdy przedstawiał identyczny widok — zbyt znajomy, aby mógł ją chociażby zasmucić. Spędzała długie godziny przy oknie matczynej sypialni, patrząc na giętkie i miniaturowe wąsy powojów, którymi — w miarę jak mijało lato — zarastały dziko kraty i które pięły się nawet na dach werandy. Tak przeszły dwa miesiące: ślub miał się odbyć za trzy tygodnie. Pewnego dnia matka powiedziała jej: „Babka chce wrócić w niedzielę. Czemu byś nie miała w towarzystwie Filipa pojechać autem do Mills City, spędzić u stryjka wieczór sobotni i wrócić w niedzielę?" W pięć minut później Elly patrzyła na swe odbicie w lutrze jak na kogoś, kto uniknął przed chwilą strasznego niebezpieczeństwa. „Boże — myślała — co ja chciałam zrobić? Co ja chciałam zrobić?"

Po godzinie niespełna wyszła z domu i zachowując wszelkie ostrożności, na które pozwalał pośpiech, zatelefonowała sekretnie do Pawła.

— W sobotę rano? — rzekł Paweł.

— Tak. Powiem mamie, że Fi... że on chce wyjechać rano, skoro świt. Nikt nie pozna ciebie ani auta. Będę już gotowa i będziemy mogli wyruszyć natychmiast.

— Tak. — Głos biegnący do drucie dawał jej świadomość odległości; miała poczucie tryumfu i wyzwolenia.

— Ale ty wiesz, co to znaczy, jeśli wrócę do ciebie. To com ci powiedział.

— Nie boję się. Wciąż jeszcze ci nie wierzę. Ale teraz nie boję się już spróbować.

Znowu doleciał do niej odległy głos.

— Nie mam zamiaru żenić się z tobą, Elly.

— Ma się rozumieć, kochanie. Mówię ci, że już się nie boję spróbować. Punktualnie o świcie. Będę czekała na ciebie.

Posłała do banku. Po chwili Filip był już wolny i podszedł do niej. Czekała na niego z twarzą wyciągniętą i bladą pod maquillage'em, z oczyma błyszczącymi i srogimi.

— Musi pan coś zrobić dla mnie. Trudno o to prosić i trudno zapewne będzie to wykonać.

— Ależ oczywiście, z przyjemnością. O co chodzi?

— Babka wraca w niedzielę do domu. Mama chce, żebyśmy pojechali w sobotę po nią, ja z panem.

— Dobrze. Będę mógł wyjechać w sobotę.

— Tak. Pan rozumie. Mówiłam panu, że to będzie trudne. Nie chciałabym, żeby pan pojechał ze mną.

— Pani nie chce... — Spojrzał na skurczoną, prawie nieprzytomną, twarzyczkę. — Pani chce pojechać sama?

Nie odpowiedziała, obserwowała go tylko. Nagle — ruchem machinalnym, automatycznym — podeszła i przytuliła się doń. Schwyciła go za rękę i opasała się nią.

— Ach! — rzekł Filip. — Rozumiem. Pani chce pojechać z kimś innym.

— Tak. Nie mogę panu teraz tego wyjaśnić. Później. Ale mama nigdy by tego nie zrozumiała. Nie pozwoliłaby mi na ten wyjazd, gdyby nie była przekonana, że jadę z panem.

— Rozumiem. — Ręka Filipa była jak martwa. Zatrzymała ją dookoła siebie.

rys. Maria Hiszpańska

— Chce pani tam pojechać z innym mężczyzną?

Wybuchła krótkim, cichym śmiechem.

— Niech pan nie udaje głupiego. Tak. W tej grupce jest inny mężczyzna. Są to ludzie, których nie znam i których nie myślę zobaczyć na nowo przed ślubem. Ale mama nie zrozumiałaby. Dlatego proszę pana o to. Zgadza się pan?

— Tak. Ma się rozumieć. Gdybyśmy nie mogli sobie pozwolić na wzajemne zaufanie, nie opłacałoby się żenić.

— Ależ oczywiście. Trzeba, abyśmy mieli zaufanie do siebie.

Puściła rękę Filipa. Spojrzała na niego z natężeniem, zamyślona, z chłodną i uważną pogardą.

— I powie pan mamie...

— Może mi pani zaufać. Wie pani dobrze sama.

— Tak. Jestem tego pewna.

Nagle wyciągnęła doń rękę.

— Do widzenia.

— Do widzenia?

Przytuliła się do niego i pocałowała go.

— Uwaga! — rzekł. — Ktoś mógłby...

— Tak. Do szybkiego... Wytłumaczę panu potem.

Cofnęła się patrząc nań z wyrazem twarzy niecbecnym i zamyślonym.

— Jest to prawdopodobnie ostatnia przykrość, jaką panu sprawię. Być może nie będzie pan tego żałował. Do widzenia.

Działo się to w piątek po południu. W sobotę rano, o świcie, kiedy Paweł zatrzymał samochód przed mrocznym domem, nagle spod ziemi, biegnąca poprzez trawnik, wyrosła Elly. Zanim wysiadł, by jej otworzyć drzwiczki, rzuciła się do wozu, umieściła się hałaśliwie na siedzeniu, pochylona naprzód, sztywna, napięta, jak szczute zwierzę.

— Prędko! — rzekła. — Prędko! Prędko! Prędko!

Ale Paweł jeszcze przez chwilę nie puszczał w ruch motoru.

— Przypomnij sobie. Powiedziałem ci, pod jakim warunkiem wrócę. Zgoda?

— Rozumiem. Mówię ci, że teraz nie boję się już zaryzykować. Prędko! Prędko!

Po czym — w dziesięć godzin później — podczas gdy zbliżali się do miasta i słupy milowe Mills City stawały się coraz liczniejsze, rzekła:

— A więc, nie chcesz się ze mną ożenić, co?

— Mówiłem ci to od samego początku.

— Tak. Ale nie wierzyłam. Nie wierzyłam ci. Myślałam, że kiedy ja... skoro ja... A teraz, nie mogę już nic zrobić, prawda?

— Nic — rzekł Paweł.

— Nic — powtórzyła Elly. Po czym zaczęła się śmiać coraz głośniej.

— Elly! — rzekł. — Dość już tego!

— Dobrze — rzekła. — Pomyślałam przed chwilą o mojej babce. Zapomniałam o niej.

Przystanąwszy u zakrętu schodów, Elly nasłuchiwała, jak Paweł, stryj i stryjenka rozmawiali na dole w salonie. Trwała tam, całkowicie nieruchoma, w pozycji nieomal kontemplacyjnej, mniszej, dziewiczej, jak gdyby pozowała, jak gdyby znalazła przez chwilę schronienie w miejscu, w którym mogła zapomnieć, skąd i dokąd idzie. Zegar w hallu wydzwonił jedenastą; wtedy wyszła z bezruchu. Zaczęła znów bez pośpiechu zstępować po schodach; skierowała się ku drzwiom pokoju kuzynki, jeszcze z sobą Murzyna do domu mego syna!

— Babko! — rzekła Elly.

— Zmuszasz mnie, żebym siedziała przy jednym stole z Murzynem.

— Babko! — szepnęła Elly głucho i doniośle, z twarzą dziką i wykrzywioną. Zaczęła nasłuchiwać. Po schodach zbliżały się kroki i głosy, ciotki i Pawła. „Szsz"! — zawołała Elly — Szsz!

— Co mówisz?

Elly podbiegła do krzesła i położyła dłoń na wąskich, bezkrwistych wargach staruszki — jedna szaleńczo napastliwa, druga szaleńczo niewzruszona — patrzyły sobie w oczy ponad tą dłonią, podczas gdy kroki i głosy mijały pod drzwiami i oddalały się. Elly zdjęła rękę. Spośród zatkniętych za ramę zwierciadła karnecików wyrwała jeden z jedwabną wstążeczką i cieniutkim, frywolnym ołóweczkiem. Napisała na grzbiecie: „To nie Murzyn, on był na uniwersytecie w Wirginii, w Harvard i wszędzie".

Babka przeczytała. Podniosła oczy.

— Harvard, to rozumiem, ale nie Wirginia. Popatrz na jego włosy, na paznokcie, jeśli chcesz dowodów. Mnie ich nie potrzeba. Znam jego rodzinę od czterech pokoleń. — Oddała jej karnet balowy. — Ten człowiek nie powinien nocować pod tym dachem.

Wzięła inny karnecik i nagryzmoliła szybko: „On będzie tu nocował. Jest moim gościem. Ja go tutaj zaprosiłam. Jesteś moją babką i nie możesz chcieć, abym potraktowała swego gościa gorzej niż psa".

Babka przeczytała. Zatrzymała karnecik w ręce.

— Mnie on nie zawiezie do Jefferson. Moja noga nie postanie w tym wozie, a twoja też nie. Wrócimy koleją. Nikt z mojej rodziny nie będzie jechał jego wozem.

Wyrwała szybko jeszcze jeden karnecik i zaczęła gryzmolić z furią:

— Pojadę. Nie możesz mi w tym przeszkodzić. Spróbuj mi przeszkodzić.

Babka przeczytała. Popatrzyła na Elly. Spojrzenia ich spotkały się.

— Wobec tego będę musiała powiedzieć o tym twemu ojcu.

Tymczasem Elly pisała już znowu. Ledwo oderwała ołówek od papieru, już wepchnęła karnet w rękę babki; po czym, tym samym gestem, usiłowała go jej wyrwać. Ale babka schwyciła już skrawek i obecnie spoglądały sobie w oczy, połączone karnecikiem niby groteskową pępowiną.

— Puść to! — krzyknęła Elly. — Puść to!

— Ty puść — rzekła babka.

— Czekaj — zawołała Elly po cichu, ciągnąc karnet ku sobie i mnąc go w ręku. — Pomyliłam się. Ja...

Błyskawicznym gestem babka wykręciła karnet, który Elly próbowała jej wyrwać.

— Ach — rzekła, po czym przeczytała głośno: „Powiedz mu. Co ty wiesz?" — Tak. Nie skończyłaś, jak widzę. Co ja wiem?

— Tak — rzekła Elly; po czym zaczęła cicho i napastliwie:

— Powiedz mu. Powiedz mu, że dzisiaj rano poszliśmy razem do lasu i że zostaliśmy tam przez dwie godziny. Powiedz mu!

Babka nic nie odpowiedziawszy złożyła starannie karnet. Wstała.

— Babko! — zawołała Elly.

— Moja laska! — rzekła babka — Tam przy murze.

Kiedy babka oddalała się, Elly podeszła do drzwi, zasunęła rygiel i spacerowała po pokoju. Szła bezszelestnie, wyjęła z szafki ściennej szlafroczek swojej kuzynki i zaczęła się powoli rozbierać, ziewając w przerwach, jak gdyby chciała sobie wywichnąć szczękę. „Boże, jaka jestem zmęczona" — rzekła głośno, ziewając. Siadła przed toaletą i zaczęła robić sobie manicure przyrządami kuzynki. Na toaletce stał zegar ze słoniowej kości. Spoglądała nań raz po raz.

Potem — zegar na dole wydzwonił dwunastą. Siedziała jeszcze przez chwilę, pochylona nad swymi błyszczącymi paznokciami, nasłuchując ostatniego uderzenia. Potem spojrzała na stojący obok niej zegar. „Nie chciałabym liczyć na twoją punktualność przed odjazdem pociągu" — pomyślała. Podczas gdy patrzyła na zegar, otępiałość i znużenie pojawiły się powtórnie na jej twarzy. Podeszła znowu do drzwi, wymknęła się na ciemny korytarz. Trwała tam, w mroku, bosa, z pochyloną głową, litując się sama nad sobą, marząco, po dziecinnemu. „Wszystko sprzysięgło się przeciwko mnie — rzekła sama do siebie. — Wszystko". Ruszyła z miejsca bezszelestnie. Szła naprzód, z wyciągniętymi w ciemności ramionami. Wysiłek, jaki czyniła, aby rozróżnić cokolwiek, przyprawiał ją o wrażenie, iż gałki jej oczu stanąwszy w słup pogrążają się w głąb czaszki. Weszła do łazienki i zamknęła drzwi na klucz. Po czym pośpiech i podniecenie ogarnęły ją na nowo. Podbiegła do ściany, za którą znajdował się pokój gościa. „Pawle! Pawle!" — rzekła po cichu; jej szept omdlały i naglący zamierał przed chłodnym gipsem. Pochyliła się, skrępowana swoim wypożyczo-

nym szlafrokiem, podczas gdy ślepe jej oczy próbowały bezustannie i beznadziejnie przebić mrok. Podbiegła do umywalni, przekręciła kurek w ciemności, puściła żałośliwy i przejmująco monotonny strumyk wody. Potem otworzyła drzwi i przystanęła na chwilę przed nimi. Usłyszała, jak zegar na dole wydzwonił wpół do pierwszej. Trwała tak nieruchomo, lekko dygocąca — jakby od chłodu. Zegar wydzwonił pierwszą.

Słyszała, jak Paweł wyszedł z pokoju, wstąpił na korytarz i przekręcił kontakt. Trzask ją zaskoczył, gdy miała jeszcze oczy przymknięte.

— Co to ma znaczyć? — rzekł Paweł. Miał na sobie pyjamę, należącą do stryja Elly. — Co u diabła...

— Zarygluj drzwi — wyszeptała cicho.

— Co u cholery? Idiotko! Przeklęta idiotko!

Objęła go, jak gdyby chcąc przeszkodzić mu w ucieczce. Przymknęła drzwi za nim, próbowała je zaryglować. Schwycił ją za przegub dłoni.

— Daj mi wyjść stąd! — szepnął. Przycisnęła się do niego dygocąca, uwieszona na nim, z oczyma rozszerzonymi. „Ona powie ojcu. Ona jutro powie to ojcu!" Pomiędzy szeptane zdania woda wtrącała swój melancholijny chlupot.

— Co powie? Cóż ona wie?

— Przytul mnie, Pawle!

— Puść mnie, psiakrew. Wyjdźmy stąd.

— Tak, ty mógłbyś zapobiec temu. Mógłbyś przeszkodzić, żeby nie powiedziała ojcu.

— Ale jakim sposobem? Puść mnie, jasna cholero!

— Ona mu powie, ale to już wtedy nic nie zaszkodzi. Obiecaj mi, Pawle. Powiedz, że mi przyrzekasz.

— Że się z tobą ożenię? O tym mówisz? Powiedziałem ci już wczoraj, że nie. Puść mnie, powtarzam.

— Dobrze. Dobrze — szepnęła głosem pełnym trwogi. — Wierzę ci teraz: nie wierzyłam ci z początku, ale teraz ci wierzę. No, to nie musisz się żenić ze mną. Możesz jej przeszkodzić i bez tego.—Wpijała się weń ciałem pełnym omdlałej, rozkosznej obietnicy. — Nie musisz się ożenić ze mną. Czy chcesz to zrobić?

— Co zrobić?

— Posłuchaj. Pamiętasz ten zakręt z białą balustradą, tam, gdzie jest tak głęboko? Gdzie, jakby skierować wóz na kruche ogrodzenie...

— Tak. Do czego zmierzasz?

— Słuchaj. Będziesz z nią razem w samochodzie. Ona nawet tego nie odczuje, nie będzie miała czasu, żeby sobie uświadomić. A to stare kruche ogrodzenie nie zatrzyma was i wszyscy pomyślą, że to był wypadek. I ona też jest stara jak ta balustrada; nie potrzeba jej wiele, wystarczy samo uderzenie, a ty jesteś młody i prawdopodobnie to ci nic... Pawle! Pawle!

Głos jej przy każdym słowie zdawał się zamierać. Podczas gdy on śledził jej pobladłą twarz oraz zapamiętałe, pełne rozkosznych obietnic spojrzenie, Elly mówiła wciąż błagalnym, zdławionym od lęku, głosem. „Pawle!"

— A ty — gdzie ty się będziesz wówczas znajdowała?

Elly trwała zastygła, z twarzą lunatyczki.

— Ach! Rozumiem. Ty — pojedziesz pociągiem. To masz na myśli?

— Pawle! — szepnęła tym samym zamierającym głosem. — Pawle!

Jego wzniesiona do ciosu dłoń, jak gdyby sama mu odmówiła posłuszeństwa — rozwarła się i długim drżącym gestem, prawie pieszczotą musnęła twarz Elly. Po raz drugi chwycił ją za kark i próbował uderzyć, po raz drugi dłoń odmówiła mu posłuszeństwa. Kiedy ją gwałtownie odepchnął, Elly potknęła się i uderzyła ciałem o tylną ścianę. Potem kroki Pawła oddaliły się. Podczas gdy woda kontynuowała w ciszy swój miarowy, spokojny plusk. Po chwili zegar na dole wydzwonił drugą. Ruchem znużonym i powolnym Elly zakręciła kurek.

Ale to — rzekłbyś — nie wystarczało, aby plusk wody ucichł. Wydawało się, że kapie ona dalej w ciszy, podczas gdy Elly leżała w łóżku na wznak, nie śpiąc, nie myśląc nawet. Kapała dalej, podczas gdy Elly pod lodowatą maską swej bolesnej twarzy poddawała się rytuałowi śniadania i pożegnań i gdy babka siadała między nią a Pawłem na jedynym siedzeniu samochodu. Nawet hałas motoru nie przygłuszył jej plusku aż do chwili, gdy — nagle — oprzytomniała. „Oto słupy milowe" — myślała, patrząc na nie, jak rzedły, podczas gdy oddalali się od Mills City. — Przypominam sobie dokładnie tamten, zostają nam jeszcze do niego dwie mile. Będę czekała na najbliższy, a potem ja... natychmiast. Natychmiast.

— Pawle! — rzekła. Nie spojrzał nawet na nią. — Czy chcesz się ożenić ze mną?

— Nie. — I ona nie patrzyła na niego. Śledziła jego dłonie, manewrujące sprawnie i sprężyście kierownicą. Między nimi siedziała babka, wyprostowana, sztywna w swej czarnej staromodnej mantyli spoglądająca prosto przed siebie jak wycięty z pergaminu profil.

— Pytam cię o to jeszcze raz. Potem będzie za późno. Będzie za późno potem, mówię ci. Pawle... Pawle?

— Nie, powtarzam ci. Nie kochasz mnie. Ja ciebie nie kocham. Nigdyśmy sobie nie powiedzieli, że się kochamy.

— Dobrze. No, to, bez miłości. Czy chcesz się ożenić ze mną bez miłości? Pamiętaj, że będzie za późno.

— Nie. Nigdy.

— Ale dlaczego? Dlaczego, Pawle? — Nie odpowiedział. Wóz mknął. Mijali teraz pierwszy słup, który przedtem zauważyła; myślała spokojnie: „Jesteśmy już prawie na miejscu. Najbliższy zakręt". — Dlaczego nie, Pawle? Jeśli chodzi o tę historię z murzyńską krwią, to ja w nią nie wierzę. Jest mi to obojętne — rzekła ponad głową głuchej staruszki, która siedziała między nimi. „Tak — pomyślała — oto zakręt". Gościniec zbliżał się do krzywizny i szedł w dół. Zanurzyła się w siedzeniu; zobaczyła wtedy, że babka ją obserwuje. Ale nie usiłowała maskować swej twarzy ani wzroku, podobnie jak nie usiłowałaby maskować głosu.

— A gdybym miała dziecko?

— No więc? Nic na to nie mogę już teraz poradzić. Powinnaś była pomyśleć o tym. Przypomnij sobie, że to ty przyszłaś do mnie; ja nie szukałem powtórnego spotkania.

— Nie. Tyś go nie szukał. To ja ci kazałam przyjść znowu. To ja tego chciałam. A teraz pytam cię po raz ostatni. Chcesz? No, prędko.

— Nie.

— Bardzo dobrze — rzekła. Cofnęła się na siedzeniu; w tej chwili wydawało się, jakoby gościniec się wahał przed skokiem na stromą pochyłość biegnącą brzegiem przepaści; biała balustrada zaczęła się szybko przesuwać obok nich. Gdy Ely odrzuciła koc, ujrzała, że babka ją nadal obserwuje. Kiedy przechyliła się gwałtownie ponad kolanami staruszki — w owej napiętej chwili rozpaczliwego ultimatum i nieubłaganej odmowy — ich spojrzenia się spotkały — opętane, zapamiętałe spojrzenie dziewczyny i spojrzenie staruszki, której uszom od dawna uchodziło wszystko, ale której oczom nie wymykało się nic. „Więc zdychaj! — krzyknęła w twarz starej. Zdychaj" — powtórzyła chwytając kierownicę wbrew wysiłkom Pawła, który usiłował ją odepchnąć. Udało się jej wsunąć łokieć między szprychy, naparła na nie całym leżącym w poprzek ciała babki ciężarem, trzymając ze wszystkich sił kierownicę przekręconą, podczas gdy Paweł tłukł ją kułakiem po twarzy. „Och! — zawyła — uderzyłeś mnie! Tyś mnie uderzył!" Kiedy samochód rozbił palisadę, poczuła się nagle wyzwolona do tego stopnia, że przez chwilę — jak ptak, który siada — oparła się z lekka o pierś Pawła, z ustami otwartymi, z oczyma wytrzeszczonymi, z wyrazem zaskoczonym i pełnym oburzenia. „Uderzyłeś mnie! — jęknęła. Po czym upadła, wolna i samotna, w cisze całkowitą i spokojną, podobną do absolutnej pustki. Twarz Pawła, babka, wszystko znikło, ulotniło się, jak gdyby pod zaklęciem. W jej oczach, połamane kawałki balustrady, osypujący się brzeg przepaści, skąd kurz się unosił lekką, trwającą niby dziecięcy balon, chmurką, wszystko to pojawiło się nagle nad nią.

Tam, w górze, hałas przemknął i zmalał w oddali — warkot motoru, przydługi skrzyp opon na żwirze — po czym na nowo wiatr westchnął w drzewach, potrząsając ich szczytami na tle nieba. Oparty o pień jednego z nich, samochód leżał w chaosie nie do poznania, a Elly siedząca pośród odłamków szkła, patrzyła na nie otępiała. „Coś się zdarzyło — chlipnęła. — Uderzył mnie. A teraz oni nie żyją; ja jestem ranna i nikt nie przyjdzie". Jęczała płaczliwym głosikiem. Po czym z wyrazem otumanionego zdziwienia podniosła dłoń. Była czerwona i wilgotna. Siedziała dalej, postękując z cicha i babrząc się w dłoni. „Pełna jest odłamków szkła, a ja nawet nie mogę tego zobaczyć" — rzekła żałosnym tonem patrząc na rękę, podczas gdy ciepła krew ściekała jej po sukni. Gdzieś w górze warkot przeszedł na nowo, potężny i przyśpieszony, po czym zgasł w oddali. Podniosła głowę, nasłuchując. „Ot i jeszcze jeden — jęknęła. — Nie zatrzymają się nawet, żeby zobaczyć, czy mnie boli".

Wiliam Faulkner
przełożył **Artur Sandauer**

rys. Maria Hiszpańska

DWIE ROZMOWY

...Dla mnie Faulkner nie jest oskarżonym tylko świadkiem oskarżenia w tym historycznym procesie, w którym nowy świat sądzi świat egoizmu, kłamstwa i nienawiści...

Ilia Erenburg (*z przemówienia „W obronie kultury"*)

Dnia 16 maja br. odbyło się w lokalu ZAIKS w Warszawie spotkanie bawiącego w Polsce przejazdem znanego pisarza amerykańskiego, Erskine Caldwella z intelektualistami polskimi. Gości powitał prezes ZZLP, Leon Kruczkowski, którego przemówienie zamieszczamy poniżej:

Szanowni Koledzy i Szanowne Koleżanki! W imieniu Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich witam w naszym gronie naszych miłych dzisiejszych gości, znakomitego pisarza amerykańskiego Caldwella i jego małżonkę. Autora „Drugiej Ameryki" znamy o tyle, o ile były nam dotąd dostępne jego dzieła i jego twórczość literacka w oryginale lub w przekładzie. Sądzę, że jest to najważniejszy rodzaj znajomości, jeśli chodzi o pisarza.

Erkine Caldwell

Znamy również nieco jego biografię, wiemy, że zanim doszedł do literatury, i do twórczości literackiej miał za sobą wiele lat ciężkiej i mozolnej pracy w różnych zawodach, pracy, która pozwoliła mu od podstaw poznać życie własnego społeczeństwa i własnego kraju. Jest to właśnie ta okoliczność, która szczególnie zbliża do nas Caldwella, pisarza do nas pisarzy Polski Ludowej. Mamy szacunek dla odwagi i szczerości, z jaką autor „Drogi tytoniowej" obrazował w swoich dziełach wyzysk pracy w swoim kraju, z jaką piętnował wstrząsającymi w swej prostocie środkami pisarskimi dyskryminację społeczną i rasową, egoizm posiadaczy i niedolę najmitów.

Myśmy w miarę naszych skromnych pisarskich możliwości starali się robić to samo w naszym kraju wtedy, kiedy panował w nim jeszcze ustrój kapitalistyczny, ustrój wyzysku ekonomicznego i degradacji społecznej człowieka pracy.

Od kilku lat mamy szczęście uczestniczyć w nowym życiu, w budowaniu sprawiedliwszego niż dotąd układu stosunków gospodarczych i społecznych, w budowaniu podstaw socjalizmu. Dla realizacji tych wielkich zadań konstruktywnych potrzebny nam jest pokój i współpraca międzynarodowa, potrzebni nam są przyjaciele i sprzymierzeńcy we wszystkich krajach.

Jesteśmy przekonani, że pisarz Erskine Caldwell jest właśnie i będzie naszym przyjacielem. Jego książki, dzieła protestu i szlachetnego gniewu, to dla nas w naszym odczuciu głos tych sił w społeczeństwie amerykańskim, które nienawidzą zła społecznego, piętnują je i demaskują, a tym samym walczą z nimi. I właśnie ludzie walczący ze złem, piętnujący je, nazywający je po imieniu są naszymi przyjaciółmi i sprzymierzeńcami.

Sądzimy, że nasz znakomity gość mimo, niestety, krótkości swego pobytu w naszym kraju, jednak swoimi przenikliwymi oczyma przyjrzał się nieco naszemu życiu. Jeśli znalazł w nim jeszcze niedomagania i błędy, to jesteśmy pewni, że zauważył również i wielki wysiłek ku lepszemu, naszą wolę kroczenia naprzód, nasz ludowy optymizm, ufność we własne siły i w siły postępu na całym świecie.

My zaś, zebrani tutaj jako pisarze, jesteśmy szczególnie radzi, że będziemy mieli zapewne możliwość w swobodnej pogawędce wymienić myśli na tematy bliżej związane z naszym zawodem, z twórczością literacką i jej problemami, wśród których znajdzie się wiele jednakowo ważnych po tej i tamtej stronie Atlantyku.

O literaturze

— Zależy mi na sprawdzeniu, czy trafnie określiłem ogólny kierunek pańskiej twórczości, wiążąc ją ze stanem Georgia, jak pan miał sposobność poznać to z artykułu, który wręczyłem panu wczoraj w Związku. Rzecz była ogłoszona w „Odrodzeniu" w roku 1947.

— Miał pan w całej pełni rację. Jestem z Georgią — a przez nią z całym Południem, poczynając od Wirginii, na Missisipi kończąc — związany węzłami zupełnie swoistymi. Jak panu wiadomo, tam się urodziłem, tam przebywałem bez przerwy do 21 roku życia, podejmując dla zarobku różnorodną pracę fizyczną, tam przez 2 lata studiowałem na uniwersytecie w Wirginii i zasadniczo tkwię tam swymi zainteresowaniami do dziś, chociaż od 7 lat mieszkam w Arizonie, w Tucson.

Czym wytłumaczyć regionalizm większości pisarzy amerykańskich?

— Jest to naturalne wobec kontynentalnych obszarów naszego kraju, różniącego się w poszczególnych krainach klimatem, rodzajem produkcji i składem ludnościowym. Tak np. William Faulkner, najbliższy mój niejako sąsiad regionalny, tkwi wyłącznie w stanie Missisipi, John Steinbeck środowiskowo nie wychyla się poza Kalifornię, James Farrel rzuca na rynek księgarski obrazy slumsów Chicago, John Marquarndt kontynuuje tradycję stanów północnowschodnich, tzw. Nowej Anglii. Nie wiem, ale zdaje mi się, że nie ma literatury amerykańskiej, wyrażającej niedwuznacznie jednolitą, ogólną postawę pisarzy przemawiających w imieniu całych Stanów.

— Czy należy pan do jednego z ugrupowań literackich, czy uważa się pan za jednego z przedstawicieli współczesnej „literature of violence"?

— Nie mam znajomości w naszym świecie pisarskim, nie uznaję podziałów, szkół i kierunków, pracuję i jestem sobą, staram się być sobą.

— Czy spośród powieściopisarzy amerykańskich lub europejskich żaden nie wywarł wpływu na pańską twórczość, szczególnie w okresie początkowym?

— Nie znam literatury europejskiej, nie miałem środków ani sposobności do jej studiowania. Nie brałem i nie biorę wzoru z naszych pisarzy krajowych dzisiejszej czy dawniejszej generacji. Proszę sobie wyobrazić moje położenie socjalne i materialne. Pochodzę z rodziny zupełnie ubogiej — jak panu wiadomo, mój ojciec był wędrownym kaznodzieją niezależnej grupy kościołów metodystycznych. Moje próby pisarskie wiążą się z pobytem na uniwersytecie w Wirginii. W pewnej chwili zacząłem po prostu notować transpozycje artystyczne faktów i postaci, zaobserwowanych w okresie ciężkich trudności materialnych i niemal niewolniczej pracy w Georgii.

— Obraz Georgii, powstający pod pańskim piórem, przedstawia prawdziwy koszmar nędzy, ciemnoty, wyzysku, nienawiści rasowej między ludnością białą i kolorową.

— Przedstawiam go takim, jakim jest w istocie.

— Krytycy nasi w dyskusji, która rozwinęła się po ogłoszeniu przekładu pańskiej noweli „Klękaj przed wschodzącym słońcem", podzielili się na dwa wyraźne obozy. Na tych, którzy uznawali siłę wyrazu, charakteryzującą przedstawienie nędzy Lonniego i lynchu Clema, i na tych, którzy tak w tym dziele pańskim jak i w innych nie widzą zajęcia ze strony pana wyraźnie negatywnej postawy wobec systemu kapitalistycznego, który powoduje podobny stan rzeczy na Południu.

— Jestem pisarzem, malarzem rzeczywistości. Funkcją malarza jest oddać obserwowany przedmiot czy scenę środkami, którymi może dysponować. Farby, rysunek ,perspektywa, dynamika, to jego tworzywo. Moim zaś — obserwacje, postaci, sytuacje i nastroje bohaterów płynące z bezpośrednich ich przeżyć. Nie czuję się jako artysta uprawniony do uprawiania propagandy expessis verbis. Nie oznacza to, że jestem artystą bez ideologii, nie jestem absolutnie zwolennikiem sztuki dla sztuki, jestem za realizmem integralnym tak pełnym dynamiki, aby dzieło nie pozostawiało żadnej wątpliwości, po której stronie stoi twórca. Maluję dzieło, przepajam je ładunkiem emocji, działam nią na czytelnika. Moim skromnym zdaniem, jest to immanentna tendencja, nie wyrażona formalnie, lecz tkwiąca istotnie w moich dziełach .

— Joseph Warren Beach, profesor uniwersytetu stanowego w Minnesocie, w książce swojej z roku 1942, zatytułowanej „Amerykańska fikcja", omawiając pański gatunek twórczości, używa terminów „naturalistyczna komedia" i „the comic catharsis". Czy uważa pan interpretację jego za trafną i wyczerpującą w całości pańską postawę wobec rzeczywistości?

— Nie umiem odpowiedzieć panu na to pytanie, jestem zbyt daleki od wszelkich sprecyzowań teoretyczno-literackich. Idzie zapewne o elementy tragiczne i humorystyczne, które krytyk odnajduje w analizie moich utworów. Cechy te wchodzą w moje dzieła bezpośrednio z życia i obserwacji. Tragizm i humor to najbardziej powszechne czynniki w doli przeciętnego mieszkańca USA — tak jak go widzę, jak go obserwuję na swoim odcinku. Nie tworzę świadomie naturalistycznej komedii w swych powieściach, po prostu odtwarzam rzeczywistość.

— Czy malując straszliwe położenie ludności białej na Południu i częste wypadki lynchu Murzynów nie odczuwa pan potrzeby krzyczeć głośno przeciw krzywdzie społecznej i wyzyskowi, jakiego są ofiarami?

— Robię to w serii rozpraw publicystycznych. W dziełach, które zaliczam do twórczości artystycznej, kładę tłumik na własne wzruszenie. Wierzę zresztą i jestem tego pewien, że stosunki te ulegną zmianie na lepsze. To co pisałem o Georgii 10 lat temu, przedstawia się już dzisiaj inaczej. Lynch, który uchodził przed 20 laty bezkarnie i uważany był za prawo zwyczajowe, dziś grozi konsekwencjami karnymi i jest potępiany przez postępową opinię publiczną.

— Tym niemniej wydaje mi się, że Upton Sinclair czy Theodore Dreiser, pisząc o pogwałceniu praw ludzkich — wnieśliby gwałtowniejszy, bardziej bezpośredni protest przeciw ustrojowi tolerującemu zło.

— W moim przekonaniu należę do pisarzy radykalniejszych i bardziej postępowych niż Dreiser, działam jednak innymi środkami. Atakuję milcząc. Milcząc zmuszam do refleksji. Daję ze swej pracowni coraz to nowy obraz upośledzenia Południa. Czynię to, na co mnie stać w moich możliwościach artystycznych i spodziewam się realnych skutków tej działalności.

— Słyszę, że na jesieni b. r. ukaże się nowa pańska książka o tragicznym Południu.

— Owszem powieść pt. „The Place Called Easterville" (Miejsce zwane Easterville"). Praca nad tą książką uniemożliwiła mi przyjazd na Kongres Intelektualistów do Wrocławia w zeszłym roku. Zastanowi pana jednak rzecz ogólniejszej natury, którą chciałem panu zakomunikować.

— Mianowicie?

— Mam w planie jeszcze parę utworów dotyczących Georgii i regionu południowego, które łącznie z dotychczas napisanymi dwunastu, lub czternastu książkami stworzą pewnego rodzaju panoramę Południa. Ogłaszane kolejno od roku 1930 powieści: „The Bastard", „Poor Fool", „Tobacco Road", „Gold's little Acre", „The tragic Ground", „The Journeyman", „Trouble in July" i inne otrzymają w konsekwencji szereg dalszych pozycji, które naświetlą wszechstronnie problematykę związaną z losem i dolą wszystkich kategorii ludności na Południu. Kwestia właścicieli ziemskich, plantatorów, posiadaczy gospodarstw działkowych, małorolnych białych, Murzynów i szalbierstwa religijne, nienawiść rasowa, degeneracja na skutek nędzy — wszystko to bez frazeologii socjologicznej, ujęte w kształcie li tylko artystycznym, wejdzie do tej sagi, poświęconej Południu.

— W roku 1930, w tym samym hotelu Bristol tu w Warszawie John Galsworthy w rozmowie ze mną wyjawił mi i wyjaśnił pełną cykliczność swojej Sagi Forsytów. Przez dołączenie ogniw pośrednich, które wtedy spoczywały jeszcze w tece autora, całość nabrała wyraźniejszego znaczenia i głębszego sensu. Przyznam się, że potraktowanie całej pańskiej twórczości jako jednego wielkiego cyklu dotyczącego krainy, która wyraźnie przeżywa skutki wojny secesyjnej, otwiera nowe perspektywy dla czytelnika i krytyka. Wobec tego odkrycia jaśniej rysuje się cała ideologia pańskich dotychczasowych powieści: powstaje coś w rodzaju sagi Williama Faulknera.

— Z tą różnicą, że nie uwzględniam chronologii dziejowej, odrzucam wszelkie zagmatwania genealogiczne między bohaterami, uwzględniam tylko obecny etap rozwojowy stosunków ekonomicznych, socjalnych i kulturalnych w moim rejonie georgiańskim.

— Mam wrażenie, że obecna podróż po dwunastu krajach europejskich jest wytchnieniem po napisaniu „The Place Called Easterville" i przygotowywaniem siły do dalszych scen panoramy. Dokąd wybiera się pan z Warszawy?

— Między innymi do Pragi, Budapesztu, Rzymu, Paryża, Brukseli, Hagi.

— W roku 1941 bawił pan w Związku Radzieckim. Jakie wyniósł pan wrażenie z tej podróży?

— Jeżdżąc jako korespondent wojenny, zwiedziłem spore obszary Związku poczynając od Kaukazu i byłem świadkiem bohaterskich walk Armii Czerwonej pod Moskwą i gdzie indziej.

— O bogactwie wrażeń i ich sile świadczą — jak mi wiadomo — zarówno pana reportaże „All Out on the Road to Smoleńsk", jak i powieść „All Night Long". Okazuje się, że wydarzenia wagi światowej, walka Europy przeciw hitleryzmowi, zdołała pana mimo wszystko uwrabić z ukochanej Georgii. Umie pan trafnie łączyć żmudną, powolną pracę artystyczną nad dziełem literackim z zainteresowaniami dla świetnych przeobrażeń ustrojowych i dla walki o zmianę warunków życia dla całej ludzkości.

— Jestem skromnym, prostym artystą, robię to, co leży w sferze moich możliwości. Wspomniał pan, że opuściłem Georgię w roku 1941. Otóż wracam do niej co roku, aby spędzić tam parę miesięcy na obserwacjach i wyżywaniu się w środowisko. Staram się utożsamić się z terytoriami, które były krajem mej młodości, obecnie zaś są widownią mych powieści i kolebką postaci, które zaludnią resztę książek mojego cyklu o amerykańskim Południu.

rozmowę przeprowadził
Stanisław Helsztyński

„Chciałbym studiować kulturę europejską"

Przed wyjazdem z Polski Erskine Caldwell udzielił wywiadu przedstawicielowi Polskiego Radia.

Jestem po raz pierwszy w Polsce. W ciągu wielu lat marzyłem o tym, żeby wybrać się do Polski: teraz zaś, kiedy już tu jestem, cieszę się, że mam sposobność poznania waszego kraju i ludzi.

Odbyłem dwudniową wycieczkę samochodem do południowej części Polski, do Krakowa i okręgów przemysłowych. Wycieczka była dla mnie bardzo interesująca, gdyż zapoznałem się zarówno z rolnictwem polskim, o którym słyszałem wiele w Ameryce, jak i z okręgiem górniczym i hutniczym. Zainteresowały mnie prowadzone tutaj na wielką skalę prace. Nie miałem pojęcia, że przemysł polski tak intensywnie pracuje. Wycieczka ta, jakkolwiek krótka, była dla mnie bardzo pouczająca. Mam nadzieję, że kiedyś zobaczę także inne okolice Polski.

Po wyjeździe z Warszawy, której zniszczenia są rzeczywiście bardzo poważne, najbardziej uderzyła mnie pracowitość ludności rolniczej. Drugie wrażenie, jakiego doznałem — to wielka ilość budynków użyteczności publicznej, jak szpitale i szkoły, muzea i wielkie katedry. Silne wrażenie zrobiła także na mnie architektura, bo w Ameryce nie mamy budowli publicznych tak starożytnych jak u was.

Zapytany o kontakty z polskimi kołami intelektualistów Caldwell odpowiedział:

Byłem wczoraj po południu na przyjęciu, urządzonym przez Zawodowy Związek Literatów, gdzie spotkałem literatów, krytyków i teatrologów, z którymi spędziłem nader przyjemnie dwie godziny.

— Jaki, według pana, powinien być stosunek amerykańskich intelektualistów do kultury europejskiej?

— Przede wszystkim sądzę, że to, co powinno być, i to, co jest w rzeczywistości — to dwie różne rzeczy. Amerykańscy intelektualiści w dużej mierze wykorzystali w swojej pracy kulturę europejską. Jednakże ja na przykład wiem o niej bardzo mało. Chciałbym studiować kulturę europejską w Europie i popracować u samych jej podstaw nad tym, co zostało tu dokonane przed stuleciami. Sądzę, że amerykańscy intelektualiści powinni zwiedzać Europę, wyjeżdżać do Polski i do całej Europy środkowej, aby zobaczyć na własne oczy osiągnięcia kultury europejskiej. Na ogół Amerykanie są raczej izolowani od większości świata, mogę to stwierdzić na własnym przykładzie. Ameryka ma niewielki kontakt z Europą, i wszystko, co wiemy o niej, opiera się na lekturze, co nie jest najlepszą drogą do zrozumienia obcej kultury. Wymiana idei między Ameryką i Europą powinna być popierana w większym niż dotychczas stopniu.

A jaka jest i jaka powinna być postawa intelektualistów amerykańskich w stosunku do pokoju?

— Zarówno ja jak i ludzie, których znam w Ameryce, wiemy, że wiele osób na świecie uprawia zaciekłą propagandę wojenną. Sam nigdy nie należałem do obozu ludzi, pragnących wojny. Myślę, że w chwili obecnej Amerykanie przedsięwzięli kroki, aby utrzymać i zapewnić pokój całemu światu. Sprawa ta na pozór trudna, jest zupełnie możliwa do osiągnięcia i prawdopodobnie będzie osiągnięta, jeżeli dojdzie do porozumienia między narodami. Sądzę, że wszyscy ludzie, zarówno ludzie pracy jak intelektualiści nie chcą wojny, bo niesie ona tylko zniszczenie, nigdy zaś nie dokonuje niczego dobrego. Sam należę do tych, którzy będą zawsze pracować dla pokoju, gdy tylko nadarzy się po temu sposobność.

Biblioteka Amatorskich Zespołów Muzycznych
MICHAŁ SPISAK
TRZY MINIATURY
Na małą orkiestrę
Gawot. Arietta. Marsz.
Partytura i głosy
str 38
zł 400

CHRISTO BOTEW

MOJA MODLITWA

Christo Botew

O mój Boże, prawy Boże,
Nie ty, co królujesz w niebie,
Lecz ty, który we mnie, Boże,
W sercu mym objawiasz siebie.

Nie ty, któryś, rad pokłonom
Popa, co Cię kornie sławi,
Nie ty, dla którego płoną
Świece bydląt prawosławnych

Nie ty, coś ulepił z błota
Męża i niewiastę płochą,
A człowiekaś stworzył po to,
By legł, jak niewolnik w prochu.

Nie ty, coś pomazać raczył
Patriarchów i cesarzy,
A odwrócił się od płaczu
Szarych braci mych — nędzarzy

Nie ty, który niewolnika
Uczysz modłów i cierpienia,
By do grobu on przywykał
Żywić się nadziei cieniem.

Nie ty, oszukańców panie,
Boże łotrów i tyranów
Nie ty, głupich kpów bałwanie,
Władco wrogów — jaśnie panów

Ale ty rozumu panie,
Co nędzarzy wiedziesz hufce,
Dzień, którego świętowaniem
Każdy naród uczci wkrótce,

Ty każdemu wetchnij, Boże
Żywą miłość do wolności,
Iżby lud walczył, jak może,
Z wrogiem prawdy i ludzkości.

Ty do walki podwój siłę
Uzbrojonej mej prawicy,
Niech i ja znajdę mogiłę,
Gdy powstaną niewolnicy.

Nie daj, by w obcej krainie
Stygło serce moje, Panie,
I niech nigdy nie przeminie,
Jak na puszczy, me wołanie...

przełożył WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

Christo Botew urodził się 25 grudnia 1848 r. w mieście Kalofer. Ojciec jego Boiu Petkow, wychowanek szkoły rosyjskiej był nauczycielem ludowym. Po zdobyciu podstawowego wykształcenia w rodzinnym mieście, Botew jesienią 1563 r. wyjeżdża do Rosji, do Odessy jako stypendysta rosyjski. W końcu 1865 r. został usunięty ze szkoły za działalność polityczną. W Odessie młody Botew rozczytywał się w literaturze rosyjskiej i uległ szczególnie wpływom pisarzy postępowych jak Bieliński, Hercen, Czernyszewski, Dobrolubow i inni. Wstąpił do nielegalnych kółek rosyjskiej młodzieży postępowej i nawiązał kontakty z tamtejszym ruchem rewolucyjnym, które miał utrzymać do końca życia. Po wyjeździe z Odessy Botew przez pewien czas był nauczycielem w besarabskiej wsi bułgarskiej Zadunajewka. Z początkiem roku 1867 powrócił do Kalofer, gdzie działał jako nauczyciel. Tutaj też rozpoczął propagandę rewolucyjną, czym uzyskał popularność wśród bułgarskiej młodzieży. Gdy osobą jego zainteresowała się policja, Botew zbiegł do Rumunii, gdzie pracował jako zecer i korektor.

Miasto rumuńskie Brajle w którym przebywał wówczas Botew było centrum ówczesnego bułgarskiego ruchu rewolucyjnego. W roku 1871 zaczyna wydawać bułgarskie pismo rewolucyjne „Słowo bułgarskie emigrantów", w roku zaś 1882 zostaje współredaktorem pism „Wolność" i „Niezależność". Kiedy w roku 1876 wybuchło w Południowej Bułgarii powstanie ludowe, Botew wraz z grupą powstańczą przeprawił się na bułgarski brzeg Dunaju i tutaj po szeregu potyczek z wojskami tureckimi został zabity dnia 2 czerwca 1886 r.

Christo Botew zajmuje w literaturze bułgarskiej podobne stanowisko jak w Polsce Mickiewicz. Jego pieśni i poematy są po dziś dzień śpiewane przez naród bułgarski. W utworach prozaicznych i artykułach publicystycznych występował Botew nie tylko jako gorący patriota, ale też jako rewolucjonista społeczny. Walczył w nich nie tylko o wolność narodu, ale też o jego wyzwolenie socjalne.

Młodzież bułgarska przy pracy

ZBIGNIEW ZAMBRZYCKI

Refleksje festiwalowe

Festival Polskiej Muzyki Ludowej, który odbył się w Warszawie między 8 — 15 maja, wzbudził olbrzymie zainteresowanie zarówno ze strony fachowców, muzyków i etnologów, jak i wśród najszerszych warstw mieszkańców stolicy.

Nie ulega wątpliwości, że impreza jest nadzwyczaj interesująca, pożyteczna i potrzebna. Pokazać polską ludową twórczość muzyczną w najrozmaitszych jej odmianach, począwszy od pradawnego prymitywu wiejskiego aż do skomplikowanych, polifonicznych form techniki kompozytorskiej — to wysiłek kolosalny. Uświadomiliśmy sobie ogrom przebytej drogi rozwoju muzyki polskiej, zrozumieliśmy jak głęboko sięgają jej korzenie. Przy tym jaka zawrotna skala porównawcza na przestrzeni wieków, jakie wspaniałe kontrasty: zestawienie prymitywu piosenki ludowej z kunsztownym opracowaniem współczesnych kompozytorów!

Jeden ogólny rezultat festivalu można już teraz stwierdzić bezsprzecznie: ludowa twórczość muzyczna wzbudziła zainteresowanie i szacunek wśród tych, którzy dotąd lekceważyli „wsiową" muzykę, nie rozumiejąc jej, nie czując, lub po prostu nie znając. Pierwsze zetknięcie się słuchacza z piosenką śpiewaną jednogłosowo, z fagotowym aksamitem „kozła" wielkopolskiego, z ozdobną, kapryśną fiorituą piszczałki — to zupełnie nowe doznanie, pełne świeżości, czywcze i niezwykłe. Niektóre melodie ludowe brzmią niemal egzotycznie: powstawały one w czasach, kiedy słuch człowieka nie znał akordów towarzyszących melodii, ani tym bardziej tonacji. Są jeszcze dziś melodie nie dające się przenieść na nuty, uchwytne tylko za pomocą fonografu: nasza „utemperowana" skala dźwięków nie uznaje różnic wysokości mniejszych od półtonu, podczas gdy budowa instrumentów ludowych, technika gry na nich i coraz to nowe, nie powtarzalne (jak wycinanki) improwizacje wirtuozów ludowych rozsadzają ramy ustalonych norm harmonii europejskiej. Stąd kłopot dla muzykologów i kompozytorów, ale kłopot uroczy, pełen możliwości nowych odkryć.

A oto inna trudność. Jak odróżnić autentyczność od naleciałości, jak dotrzeć do pierwszego źródła muzyki ludowej? Szukamy folkloru czystego, w „stanie surowym": w przekazywanej z ust do ust tradycji, w pamięci starych ludzi, w zapiskach zbieraczy. Trudne i często zawodne to poszukiwania. Zdarza się spotkać melodię o cechach wyraźnie polskich, przy bliższej jednak analizie wyłazi jej obce, często bardzo dalekie pochodzenie. Można też usłyszeć na wsi motyw szlagieru jazzowego tak zmieniony, „uludowiony", że trudno nie zaliczyć go do twórczości oryginalnej.

Nie na tym koniec. Co z samorodną twórczością robić, jak się z nią obchodzić? Czy kultywować tradycję, tworzyć rezerwaty, konserwować „inkrudowość" muzyki, chronić przed stylizacją, przed zalewem muzyki obcej, gramofonowej, produkowanej seryjnie, na zamówienie, czy też ograniczyć się do odszukania i zafiksowania na płycie, na wałku fonograficznym, na taśmie stilowej dawnego folkloru muzycznego, stworzyć z tego zbiory muzealne i karmić naszych kompozytorów taką surowicą, witaminą odżywczą i zapładniającą.

Festival wydobył dużo tego rodzaju problemów. Muzycy gorąco dyskutowali w przerwach, „szeroka" publiczność dawała się porwać bezpośredniemu wrażeniu. Nie były to tylko wrażenia słuchowe. Na estradzie Filharmonii Stołecznej ukazywały się grupy zespołów ludowych w strojach regionalnych, które bogatą gamą kolorów, rytmów, motywów, barw dźwiękowych, tańców mogły dostarczyć cennego materiału etnologom, muzykologom, malarzom i choreografom. Reprezentowane były:
Rzeszowskie (Machów, Suchodół, Jodłowa), Podhalańskie (Bukowina, Biały Dunajec, Murzasichle, Góralskie (Kościelisko — Zakopane), Krakowskie (Skrzydlna — Limanowa, Żywiec, Zaborów, Nowy Sącz), Kieleckie (Bieliny, Sędziszów), Śląskie (Istebna — Wisła), Lubelskie (Siennica Różana), Łowickie (Zduńska Dąbrowa), Kurpiowskie (Kadzidło), Wielkopolskie (Chwałkowo, Biskupizna, Szamotuły, Kościane),

To był pierwszy krąg festivalu. Drugi — to tzw. stylizowana muzyka ludowa — jak głosi program — „rozbudowująca i przetwarzająca tematy, które w całości przejęła melodie ludowe przy użyciu daleko nieraz sięgających środków techniki kompozytorskiej". W ramach tego kręgu produkowały się zespoły chóralne i kameralne, męskie, żeńskie i mieszane. Usłyszeliśmy pieśni ludowe w opracowaniu i stylizacji kompozytorów polskich. I tu uderzała ogromna rozmaitość ujęć stylizacyjnych, harmonicznych, interpretacyjnych. Gawlas, Lachman, Lasocki, Maklakiewicz, Maryński, Noskowski, Poradowski, Raczkowski, Sikorski, Wallek-Walewski, Wiechowicz i i. — każdy w sposób odmienny, szukający własnego wyrazu w pieśni ludowej. Wreszcie trzeci krąg: „oryginalna twórczość kompozytorska, która w oparciu o tradycyjne formy muzyki artystycznej (rondo, scherzo, uwertura, symfonia) szuka pobudki w tematyce ludowej, świadomie wyzyskiwanej, czerpiąc zaś z własnej inwencji, stara się pozostać w nastrojowej sferze ludowości". Tu były szczyty: Chopin, Panufnik, Rudziński, Szeligowski, Szymanowski. I znowu olbrzymia rozmaitość inwencji, stylów, indywidualności kompozytorskiej.

Jest jeszcze za wcześnie na wyciąganie wniosków. Festival trwa nadal. Zgodnie z programem fala muzyki ludowej rozchodzi się teraz po całej Polsce, aby w ciągu maja dotrzeć do najdalszych zakątków kraju. W Warszawie wysłuchało jej około 20 000 osób; w całej Polsce usłyszą miliony. Festival poruszył wieś. Około dwa tysiące zespołów ludowych (200.000 osób) bierze udział w ogólnokrajowym festivalu. Dzięki nowym warunkom politycznym i gospodarczym historia naszej kultury może zanotować nowy eksperyment. Pierwszy krok w kierunku poznania, zachowania i wykorzystania bogactw artystycznych rodzimej muzyki ludowej został zrobiony.

Zbigniew Zambrzycki

STANISŁAW SZENIC

Na Trasie Południe — Północ

Place, na których wzrastają w warszawskim tempie odbudowy wspaniałe gmachy Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej i Sejmu Rzeczypospolitej przywodzą na myśl zapomnianą, a osławioną postać księcia podkomorzego Kazimierza Poniatowskiego. Ten najstarszy brat króla Stasia zakupił gdzieś około roku 1777 wielki kompleks gruntów, położonych między wylotem Nowego Światu, ulicą Daszyńskiego i Solcem, po czym sprowadziwszy całą armię ogrodników, cieśli, murarzy, sztukatorów i tapicerów, przekopywał nabyte grunta przez okrągłe dziesięć lat wszerz i wzdłuż i garściami wyrzucał złote dusie, aby stworzyć równie fantastyczne jak pozbawione smaku ogrody. Mania zakładania sztucznych ogrodów, świeżo wówczas na zachodzie powstała, znalazła w Polsce gorliwych naśladowców. Radziwiłłowa budowała Arkadię, Lubomirska zakładała park na Mokotowie, Czartoryska rujnowała się na Powązki, parweniuszowski Kazimierz Poniatowski nie chciał pozostać w tyle. Budował więc sztuczne groty, wykuwał w skale wodozbiory, spadające kaskadami ze sztucznej góry. Przed grotą, zrobioną ze stiuku, wykopał sztuczny staw z wyspą pośrodku, z której przerzucony był most na brzeg stawu. Na wyspie mieścił się pawilon chiński, na brzegu stała wiejska gospoda, ze wspaniale urządzonymi salonami w środku. Na innej wysepce zbudowano całe miasto dla dzieci, które książę spraszał na festyny. Dzieci poprzebierane w stroje rzemieślnicze udawały, ku uciesze starszych, oberżystów, szewców, krawców, kowali i innych rzemieślników. Na jednym wzgórzu wznosiła się okrągła świątynia o jońskich kolumnach, na drugim stał minaret turecki z krętymi schodami, z którego roztaczał się piękny i daleki widok na Warszawę i Wisłę.

Zygmunt Vegel Ogrody Księcia podkomorzego Kazimierza Poniatowskiego przy Nowym-Świecie

Jednym z tych koztownych dziwactw była słynna na całą Europę wylęgarnia małp. Książę podkomorzy skupywał małpy po wszystkich menażeriach. Nie wiodło mu się jednak jakoś z tą wylęgarnią; małpy gryzły się, tonęły w sztucznych stawach i zdychały, niby jakimś pomorem tknięte.

Te nadziemne cudaczności ustępowały jeszcze wymyślnościom podziemnym. Przez różne korytarze docierało się do wspaniałych salonów podziemnych, a nawet wielkiej podziemnej widnej sali o kolumnach i wnękach marmurowych, w których było umieszczonych osiem popiersi cesarzy rzymskich, a nade drzwiami widniały płaskorzeźby. Oto jak podróżnik angielski William Coxe w książce „Travels in Poland, Russia, Sweden and Denmark" (London, 1784—1790) opisuje te ogrody: „Wieczorem dał przyjęcie brat króla we wspaniałym, zdobnym w piękne budynki ogrodzie. Było to wieczór po dniu dusznym bardzo; spacerując po ogrodzie, przybyliśmy wreszcie do groty, w sztucznych skałach wykutej, urozmaiconej źródłami i strumykami. Usiadłem wraz z królem na ławeczce z mchu, a księżyc właśnie zeszedł i upiększył dziwnie tę chwilę, potem wiodła droga przez kręty, podziemny korytarz, w którym tu i ówdzie lampa słabe siała blaski. Wreszcie dotarliśmy do drzwi drewnianych, jakby wejścia do lichej chatki. Drzwi nagle otwarły się i ujrzeliśmy się we wspaniałej, przecudnie oświetlonej sali. Był to rondel z przepyszną kopułą wedle najpiękniejszej symetrii. Dokoła, w pośród kolumn ze sztucznego marmuru, widziałeś cztery otwarte gabinety, a w nich sofy wygodne i malowidła al fresco, przedstawiające triumfy Bachusa, Sylena, Ambra, oraz zwycięstwo cesarzowej Katarzyny nad Turkami. Wtem wśród ogólnego podziwu olśnił uszy nasze koncert niewidzialnej orkiestry. Szukaliśmy daremnie, skąd pochodziły tony, gdy na środku sali nakryły się stoły z taką szybkością, że wydały się, jak gdyby zaczarowane. Nigdy nie spędziłem przyjemniejszego wieczoru!"

Zygmunt Vegel-Ogrody Księcia podkomorzego Kazimierza Poniatowskiego przy Nowym-Świecie

Książe de Ligne, słynny arbiter elegantiarum XVIII wieku, wychwalając ogrody, żałował jedynie, że są one niepotrzebnie rozdzielone gościńcem, nad którym nie poprowadzono mostu. Gościńcem tym była obecna ulica Książęca.

Wśród takiego to dziwacznego przepychu rezydował najstarszy brat króla Stasia, figura dość charakterystyczna dla owych czasów. Zaszargał sobie opinię zabiciem w pojedynku wojewody lubelskiego Adama Tarły. Zabił go szpadą, ale przed skrzyżowaniem szpad obaj przeciwnicy, jak pisze znany pamiętnikarz, ksiądz Andrzej Kitowicz, „wypalili do siebie po dwa razy bezskutecznie, tylko któryś z nich przebiegającego przez plac pojedynku jakiegoś chłopa postrzelił w zadnią ćwierć". Książę podkomorzy leniwy był z natury, więc pracą się nie parał, pieniędzy musiał i tak dostarczać król, a ściślej mówiąc sumy na pokrycie książęcych zachcianek szły z biednego skarbu Rzeczypospolitej. Rano książę podkomorzy, poprzedzony laufrem w stroju, mieniącym się kolorami motyla, wyjeżdżał w nankinowym fraku, na angielskim białym koniu z grzywą pomalowaną na zielono. Wracał na obiad, spożywany w otoczeniu swego seraju. Przez dłuższy czas gorszył warszawską societę „czarnooką, piękną Józefką", którą zabierał ze sobą na assemble i wizyty, a później wydał za mąż, dając jej w posagu pałacyk z ogrodem, graniczący z opisywaną posiadłością... Wiadomo też, że pani Grabowska nim została żoną króla Stasia, rezydowała w słynnych ogrodach. Wreszcie zdobyła jego serce słynna aktorka, pani Truskolaska. Kazał ją, jak pisze Wasylewski „portretować nago jako Wenus i kupił jej raz wannę tak woniejącą, z której woda, wylana na ulicę przez wiele dni jeszcze pachnęła". Truskolaskiej pozostał wierny do śmierci. Umarł w 1801 r. w wieku lat 80, zostawiając w testamencie synowi następujące polecenie: „Pod błogosławieństwem Ojcowskim zaklinam Wpana... abyś zechciał mieć względy dla niej po mojej śmierci i płacił jej do śmierci co miesiąc po sto czerwonych złotych. Słodziła mi moją starość i z jej przywiązania do mnie miałem jedyną konsolację"..

Ogrody księcia podkomorzego znamy z dwóch obrazów Zygmunta Vogla. Prędko zawaliły się sztuczne groty, sadzawki i podziemne salony; nie pozostało po nich śladu poza minaretem, stojącym do dziś tuż przy Nowym Świecie. Na placu od ulicy Książęcej stanął w 1841 roku szpital św. Łazarza. Przy Nowym Świecie Towarzystwo Dobroczynności wybudowało w 1842 roku dwupiętrowy Dom Sierot i Ochronę Jachowicza. W ogrodach przy ulicy Daszyńskiego już w 1815 roku restaurator Szymon Chovot urządził miejsce zabaw pod nazwą „Frascati".

Stanisław Szenic

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZO-OŚWIATOWA
»CZYTELNIK«
Ostatnie Nowości Działu Nut

»Piosenki Czytelnika«
TADEUSZ SZELIGOWSKI
ZIELONA BRZÓZKO OD RÓŻANA TRAKT
Tekst Tadeusz Kubiak
str 4
zł 70

»Piosenki Czytelnika«
PIOTR PERKOWSKI
R Z E K I
Tekst K. A. Jaworski
str 4
zł 70

KRONIKA RADZIECKA

Znany dramaurg Republiki Estońskiej, **A. Jakobsen**, odznaczony nagrodą stalinowską za sztukę pt. „Życie w cytadeli" — napisał ostatnio nową sztukę pt. „Dwa obozy".

Nagrodę stalinowską za rok 1943 przyznano dramaturgom: **A. Sofronowi** za sztukę „Charakter moskiewski", **A. Surowcwi** za „Zieloną ulicę" i **A. Kornicjczukowi** za sztukę „Makar Dubrawa".

Nagrodę stalinowską za prozę i poezję otrzymali: **W. N. Ażajew** za powieść „Daleko od Moskwy", **B. N. Polewoj** za opowiadania „My — radzieccy ludzie", **W. F. Popow** za powieść „Stal i szlak", **G. D. Gulia** za powieść „Wiosna w Sakenie", **K. M. Simonow** za wiersze „Przyjaciele i wrogowie", **N. S. Tichonow** za wiersze „Gruzińska wiosna".

Naród radziecki czci pamięć Juliusza Słowackiego. Związek Pisarzy Radzieckich, Komitet Słowiański ZSRR i Wszechzwiązkowe Towarzystwo Wymiany Kulturalnej z Zagranicą zorganizowały w Moskwie, 4 kwietnia 1949 r. uroczystą akademię, poświęconą setnej rocznicy śmierci J. Słowackiego. W części oficjalnej akademii wygłosił słowo wstępne **N. Tichonow**, a po odegraniu hymnów państwowych ZSRR i Polski zabrał głos **S. P. Szczipaczew**, który nakreślił sylwetkę Słowackiego i zanalizował jego twórczość, kładąc specjalny nacisk na utwory młodzieńcze, następnie zaś zajął się szczegółowym omówieniem „Kordiana", „Anhellego", „Beniowskiego" i „Fantazego".

Drugą część akademii wypełnił koncert i recytacje wierszy Słowackiego, w wykonaniu radzieckich mistrzów żywego słowa.

Wiosenny bazar książkowy w Moskwie. W obwodzie i stolicy ZSRR obchodzi się corocznie tradycyjny Miesiąc Książki (od 25.IV do 25.V). Udział w tej imprezie biorą wszystkie księgarnie Moskiewskiego Wydawnictwa Państwowego. W samej Moskwie, w pasażu Pietrowskim, w Dniu Prasy bolszewickiej (5.V) otwarto bazar książkowy. Literatura piękna stanowiła dział największy i najbogatszy. Przewiduje się, że ponad 2 miliony książek będą rozprowadzone wśród ludności.

Almanach „Rok XXXII". Niedawno ukazał się pierwszy tom almanachu „Rok XXXII", który zawiera między innymi szkice: **W. Iwanowa** „Latem 1948 r.", **W. Fomienki** — „W salskim stepie", **F. Wigdorowej** — „Czwarta klasa „W", wiersze **J. Smieljakowa** i **M. Łukonina**.

Centralny Dom Dziennikarzy w Moskwie wznowił swoją działalność 7 maja b. r. Na uroczystość otwarcia przybyli pracownicy redakcji dzienników, czasopism i wydawnictw. Urządzono również wystawę pn. „Prasa w walce o terminowe wykonanie planu powojennej pięciolatki stalinowskiej".

Grupa uczonych radzieckich pod przewodnictwem prof. **W. Danilewskiego**, rzeczywistego członka Akademii Nauk ZSRR, zajęła się badaniem życia i twórczej pracy **Iwana Fiedorowa**, pierwszego drukarza i wydawcy rosyjskiego. Na podstawie tych badań należy stwierdzić obecnie, że książki, które I. Fiedorow wydał i ozdobił, są nie tylko arcydziełami sztuki poligraficznej XVI wieku, ale dowodem niesłychanej wytrwałości i pracowitości człowieka, który je wykonał. Książki I. Fiedorowa zdumiewają nadzwyczajną jakością wydania, bogactwem wykończenia szaty zewnętrznej, różnorodnością i przepychem materiału ilustracyjnego.

Państwowa Biblioteka im. W. I. Lenina (Oddział Rękopisów) odnalazła 79 listów **S. W. Rachmaninowa**. Listy te, dotychczas nieopublikowane, z okresu 1890 — 1903 r., zawierają wiele cennego materiału biograficznego znanego kompozytora, nadto przyczynią się do wyjaśnienia niektórych wątpliwości z pierwszego okresu jego twórczości.

Państwowe Muzeum Centralne Kultury Muzycznej opracowuje 4-tomowy słownik biograficzny pt. „Działacze rosyjskiej kultury muzycznej". Zatrudniono ponad 150 muzykologów. Słownik obejmie biografię, opis działalności twórczej, oraz materiały krytyczne 2.000 rosyjskich kompozytorów, wykonawców, pedagogów, pieśniarzy ludowych i tłumaczy.

Przygotowano do druku zbiorowe wydanie utworów rosyjskiej muzyki klasycznej, odnoszących się i związanych z osobą A. S. Puszkina.

Komisja Puszkinowska Związku Kompozytorów Radzieckich rozpatruje nowe utwory kompozytorów radzieckich, poświęcone **A. S. Puszkinowi**. Przeegzaminowano już chóry **A. Nowikowa**, romance **A. Mosołowa, A. Dołuchanowa, S. Razorenowa**, arię solową z towarzyszeniem orkiestry — **J. Aleksandrowa** i i. W najbliższym czasie komisja wysłucha poematu symfonicznego **E. Makarowa** pt. „Bajka o rybaku i rybce", chórów **S. Potockiego, W. Koczetowa** i i.

Dla uczczenia 150 rocznicy urodzin A. S. Puszkina wystawią teatry ZSRR prócz sztuk tego pisarza, również utwory mu poświecone, a napisane przez pisarzy radzieckich.

Komitet dla Spraw Sztuki przy Radzie Ministrów ZSRR i Związek Pisarzy Radzieckich rozpisał konkurs na najlepszą komedię. Rozstrzygnięcie konkursu nastąpiło w drugiej połowie kwietnia b. r. Pierwszą nagrodę otrzymał **A. Sofronow** za komedię pt. „Kariera Bellerowa", drugą nagrodę: **G. Moliwani** za sztukę pt. „Kto winien?". Dwie trzecie nagrody równorzędne przyznano **Ł. Szejninowi** za „Fatalne dziedzictwo" oraz **A. Fajce i S. Sołodarowi** za sztukę „Pięć przyjaciółek".

Teatr im. Mossowieta obchodził z końcem kwietnia br. jubileusz 25-letniej twórczej pracy. Wydana z tej okazji jednodniówka pt. „XXV-lecie teatru im. Mossowieta" zawiera szereg artykułów i notatek, opracowanych przez dramaturgów, krytyków i pracowników teatru.

bm.

SPROSTOWANIE

W artykule Marii Rzeuskiej „*Pozorna krzywda Pałuby*", zamieszczonym w 21 (234) numerze „Odrodzenia" z dnia 22 maja br., zdanie „w szlachetnej chęci uczynienia zadość krzywdzie" powinno występować bez cudzysłowu, zespół wyrazów „zapoznanego dzieła nauki" powinien brzmieć „zapoznanego dzieła sztuki".

KSIĄŻKI · KSIĄŻKI · KSIĄŻKI · KSIĄŻKI ·

JAN SZCZEPAŃSKI

Spojrzenie za kulisy faszyzmu

Hr. Galeazzo Ciano. Pamiętniki. 1939—1943. Przekład K. Fudakowskiego St. Jamiołkowski i T. J. Evert. Spółka wydawnicza, Łódź; 1949. 2 tomy.

Nie mamy możności stwierdzenia czy pamiętniki oraz podpisane pod poszczególnymi datami notatki są autentyczne, czy też napisał je później ktoś inny. Nie mamy wreszcie możności stwierdzenia ich prawdomówności w wielu sprawach. Załóżmy więc, że są prawdziwe, że napisał je rzeczywiście człowiek stojący politycznie i osobiście najbliżej Mussoliniego, widzący więc dokładnie wewnętrzną stronę maskarady i pompy, jaką reżim faszystowski otaczał osobę swojego wodza. Jaki jest obraz narysowany przez ministra Ciano? Jacy ludzie skupiali się w elicie rządzącej Włoch? Jak wyglądał Mussolini z bliska, bez maski imperatora i pozy śpiżowego posągu? Jaki mechanizm poruszał władzą partii faszystowskiej?

Nie możemy oczekiwać od pamiętników odpowiedzi ostatecznych na te pytania. Są one pisane wyraźnie dla usprawiedliwienia autora oraz polityki zagranicznej Włoch. Poza tym spotykamy w nich nieraz naiwności, które trudno przypisać odpowiedzialnemu ministrowi, oraz niejasności i sprzeczności, zwłaszcza w informacjach dotyczących przygotowań wojennych Włoch i stanu sił zbrojnych. Lecz mimo to, pamiętniki mają swoją wagę, gdyż pisał je minister spraw zagranicznych imperium faszystowskiego, znający jego zagadnienia. Nie są one dokumentem historycznym, do którego można mieć zaufanie bez zastrzeżeń, lecz między ich wierszami można wyczytać wiele informacyj o atmosferze duchowej elity faszystowskiej. Znajdujemy także relacje o nastrojach ludności i armii, wysyłanej na fronty do walki o sprawy obce im lub nienawistne. Ciano zdaje sobie sprawę z tej rozbieżności między pamiętnikiem, jaki mógłby prowadzić każdy Włoch, a jego własnym, i świadomie lub półświadomie dąży do zacierania tej rozbieżności, nadając notatkom ton niepokoju o los ojczyzny, niepokoju — tym większego, że opartego na większej rozległości horyzontu politycznego. Mając w myśli te zastrzeżenia przejrzymy sprawy najbardziej interesujące, których obraz dają nam pamiętniki.

Nie wiemy, w jakim stopniu Ciano przejaskrawiał obraz reżimu faszystowskiego, ażeby na jego ciemnym tle tym jaśniej wypadła jego własna sylwetka. W każdym razie partia faszystowska zostaje przedstawiona jako „środowisko oszustów". (t. II. str. 64). Generałowie **włoscy** — z nielicznymi wyjątkami — to, według opinii Ciano, banda karierowiczów i złodziei. Wojnę traktują oni „z obojętnością fachowców". Mussolini czyni im z tego powodu zarzut, widząc w tym wpływ monarchii. Dyktator włoski marzy o tym, by bronić miast afrykańskich tak, jak bronił się Stalingradź Marzenie ściętej głowy! Wojna była niezrozumiała dla narodu i według jego opinii niepotrzebna. Wszak bataliony maszerowały na wojnę śpiewając „chcemy pokoju nie wojny". Skutki uzależnienia spraw państwa od kaprysu dyktatora przejawiały się w katastrofalny sposób. Przecież sztabowcy oszukiwali Mussoliniego — żeby mu się przypodobać, gdyż dyktator nie lubił złych informacyj. Szef sztabu głównego Cavallero podaje fantastyczne liczby dywizyj, nie istniejących nawet na papierze, a naciśnięty przez kolegów na radzie wojennej zmniejsza ich liczbę o 50%, przy czym Ciano jest pewny, że i ta zmniejszona liczba jest zmyślona. Wiedzą to również inni obecni, nie chcą jednak martwić Mussoliniego. Wszechwładny dyktator nie wie, ile ma samolotów lotnictwo włoskie i gdyby chciał się dowiedzieć, musiałby zarządzić nagdy spis policyjny na wszystkich lotniskach! Nie wie, ile ma armat, jaka jest produkcja samolotów i reflektorów! Czytelnik stawia sobie pytanie: czy to może być prawda, a jeżeli tak, to jak jest to możliwe? Reżim, na temat którego napisano setki książek i tysiące artykułów we wszystkich językach świata, widziany z bliska oczyma jednego z twórców i najwyższych dygnitarzy, okazuje się krwawą operetką, szaleństwem kabotyna i próżnego dyktatora!

Lecz czy tylko kaprysem dyktatora? Pamiętnik Ciano nie pokazuje nam całego skomplikowanego działania procesów społecznych, które doprowadziły do powstania faszyzmu. Nie widzimy tu sił społecznych, które wyniosły „Cezara jednego sezonu" na czoło państwa, pozwalając mu na rojenia o wskrzeszeniu imperium rzymskiego, o opanowaniu Morza Śródziemnego, wyjściu na oceany; pozwalając mu na militaryzację społeczeństwa, rozbudowę marynarki i lotnictwa itp. Stąd czytelnik może odnieść wrażenie, że faszyzm powstał wyłącznie z woli Mussoliniego i że jego kaprysy były siłą kierującą Włochami. Nie widać procesów przekształcających społeczeństwa kapitalistyczne i prowadzących do faszyzmu.

Uważna lektura pamiętników pokazuje, że są to złudzenia, że Mussolini był tylko marionetką. Widzimy wyraźnie, że jego wysiłki wychowawcze spływały po narodzie włoskim prawie bez śladu. Przecież w chwili, gdy sytuacja międzynarodowa dojrzała do wojny, i gdy w myśl sojuszu naród włoski miał wystąpić wraz z Niemcami, armia była zdezorganizowana, przemysł zupełnie nieprzygotowany, lotnictwo i marynarka dalekie od gotowości, naród w swej masie nie chciał słyszeć o wojnie. Mussolini żył złudzeniem, że tworzy historię według swojej woli, że tworzy nowy naród i nową epokę. Kiedy przyszła chwila egzaminu, bankructwo było zupełne.

Według pamiętników Ciano Mussolini był fantastą, nie odróżniającym możliwości od własnych zachcianek. Marzył o sławie wojennej dla siebie. Naród miał mu tylko dostarczyć żołnierzy i okazji do wybicia się. Zewnętrzne formy militaryzacji uważał za istotną treść wielkości. Prusy, jego zdaniem, stały się mocarstwem dzięki wojskowemu drylowi i mustrze wojskowej. Wyobrażał sobie, że żołnierz dobrze maszerujący na defiladzie „rzymskim krokiem", będzie równocześnie bił się bohatersko na froncie. Najmilszym zajęciem dyktatora było obserwowanie spoza kotary w oknie jak milicja faszystowska ćwiczy się w maszerowaniu „rzymskim krokiem". Stąd też wyobrażenia o technice działania społecznego i metody polityki Mussoliniego. Chciał naród pędzić do wielkości kijem i kopniakiem. Ostry mróz w czasie katastrofalnego braku opału wywołuje jego zadowolenie, bo uśmierci wszystkich słabych i przyczyni się do podniesienia wartości biologicznej „rasy włoskiej". Środkiem do podniesienia jakości tej rasy miało być również zalesienie Apeninu, które obniżywszy przeciętną temperaturę Włoch, miało podnieść odporność fizyczną narodu. A stąd tylko automatyczny krok do wielkości historycznej!

Znajdziemy w pamiętnikach strony i notatki mówiące o społecznym pochodzeniu elity partyjnej, o powiązaniu partii z wielką burżuazją i arystokracją. Lecz na uwagę zasługują przede wszystkim te części pamiętników, w których jasno występuje stosunek Włoch do Niemiec, Mussoliniego do Hitlera, Ciano do Ribbentropa. Więź polityki zagranicznej, sojusz wojskowy, współdziałanie na frontach — a przede wszystkim wzajemna nieufność, podejrzenie, lekceważenie i pogarda, którymi obdarzają się dwaj dyktatorzy i dwie pokrewne ideologicznie partie — oto zespół spraw, które znajdują wszechstronne naświetlenie. Na tym tle przewijają się „wodzowie" pomniejszego kalibru, różni „Conducatorzy", „Poglawnicy", „Caudillowie", dojrzali w atmosferze Berlina i Rzymu. Nędzne kreatury, patrzące na pieniądze państwowe, o których Ciano pisze z pogardą. Poseł Albanii, dopomagający czynnie w podboju własnego kraju, prosi o pierwszą bezwstydną łapówkę pod pozorem, że jeszcze nie zmienił własnej waluty. Po sukcesach dyplomatycznych w Jugosławii i Kroacji, Ciano pisze brutalnie: „jutro rozpoczynamy wypłaty w Zurychu". Cała ta spółka zawiązana do grabieży i oszustwa przedstawiona tu została jaskrawie, prawie z cyniczną otwartością.

Osobna wzmianka należy się stosunkom dyplomatycznym z państwami zachodnimi oraz manewrom tej dyplomacji po Monachium, chcąc uspokoić dyktatorów kosztem małych państw. Dwuznaczna postawa rządu francuskiego, zabiegi Lavala i innych faszystów francuskich pragnących dojść do porozumienia z Mussolinim, pokazują nam polityczną małość tych „mężów stanu", nie umiejących, czy nie chcących rozpoznać, z kim mają do czynienia i jaka jest stawka gry.

W sumie, mając w pamięci wszystkie zastrzeżenia, jakie zawsze budzą pamiętniki, znajdziemy w książce pośmiertnej hr. Ciano, lekturę pasjonującą. Pamiętniki pozwalają na spojrzenie za kulisy wielkiej parady, urządzanej przez Mussoliniego i tych, którzy go wysunęli.

Jan Szczepański

TYDZIEŃ BIBLIOGRAFICZNY

PSYCHOLOGIA

Acta Academiae Medicae Gedanensis. Sectio 1. Acta Facultatis Medicae. vol. 2.

Tadeusz Bilinkiewicz. Psychologia marzenia sennego. Gdańsk, A. Krawczyński, 1948; str. 325 i 3 nl.

Maria Ossowska. Motywy postępowania. Z zagadnień psychologii moralności. Warszawa, „Książka i Wiedza", 1949; str. 325 i 3 nl.

HISTORIA

Józef Kowalczyk. Rok przełomu. Przyczynek do historii jednolitego frontu w Polsce przedwrześniowej. Warszawa, „Książka i Wiedza", 1949; str. 50 i 2 nl.

Tadeusz Rek. Echa ćwięcimskie. Okładkę projektowali **Danuta i Tadeusz Turzewscy.** Warszawa, Wydawnictwo Ludowe, 1949; str. 222 i 2 nl.

JĘZYKOZNAWSTWO

Stanisław Szober, Bronisław Wieczorkiewicz. Krótka gramatyka dla wszystkich. Warszawa, S. Arct, 1948; str. 115 i 1 nl.

LITERATURA

Biblioteka Swietlicowa Domu Wojska Polskiego. Armia Radziecka. Pieśni. Utwory poetyckie. Inscenizacje. Fragmenty prozy. Opracował **Wydział Literacki DWP.** Okładkę projektowało Studio Sztuk Plastycznych Domu Wojska Polskiego. Warszawa, „Prasa Wojskowa", 1949; str. 231 i 1 nl. i 1 knl. (errata).

Biblioteka Poetycka Domu Wojska Polskiego. **Władysław Broniewski, Leopold Lewin, Robert Stiller, Wiktor Woroszylski.** Poematy o generale Świerczewskim. Warszawa, „Prasa Wojskowa", 1949; str. 59 i 1 nl. i 1 knl.

Maksym Gorki. 9 stycznia. Przekład **Artura Sandauera.** Ilustrował **Stefan Bernaciński.** Warszawa, „Książka i Wiedza", 1949; str. 61 i 3 nl.

Paweł Hertz. Małe ody i treny. Warszawa, „Książka i Wiedza", 1949; str. 61 i 3 nl.

W. Jan. Statek fenicki. Powieść historyczna. Przekład z rosyjskiego **Marty Malickiej.** Rysunki **W. Bechtiejewa.** Warszawa, „Prasa Wojskowa", 1949; str. 174 i 2 nl.

Egon Erwin Kisch. Chiny bez maski. Autoryzowany przekład **Tadeusza Zabłudowskiego.** Obwolutę projektował **Mieczysław Berman.** Warszawa, „Prasa Wojskowa", 1948; str. 206 i 2 nl. i 1 knl. (errata).

O Armii Radzieckiej. Obwolutę projektował **Mieczysław Berman.** Warszawa, „Prasa Wojskowa", 1949; str. 182 i 2 nl.

Konstanty Paustowski. Dalekie lata. Tłumaczył **Jerzy Jędrzejewicz.** Okładkę projektował **Andrzej Rudziński.** Warszawa, „Wiedza", 1948; str. 339 i 5 nl.

Eugeniusz Pietrow. Wyspa pokoju. Komedia w 4 aktach. Przełożyła **Maria Wisłowska.** Warszawa, „Książka i Wiedza", 1949; str. 125 i 3 nl.

Bronisław Przyłuski. Obrona mgieł. Wybór poezji. Londyn, Veritas Foundation Publication Centre, 1949; str. 61 i 3 nl.

Włodzimierz Słobodnik. Wiersze zebrane. Okładkę projektował **Eryk Lipiński. Warszawa,** „Wiedza", 1948; str. 302 i 2 nl. i 1 knl.

Biblioteka Swietlicowa Domu Wojska Polskiego. Generał Karol Świerczewski. Opracował **Wydział Literacki DWP.** Okładkę projektował **T. Majewski. Warszawa,** „Prasa Wojskowa", 1949; str. 99 i 3 nl.

L. E. Veynich. Jack Raymond. Przełożyła z angielskiego **Maria Kreczowska.** Okładkę projektowała **M. Hiszpańska.** Warszawa, „Wiedza", 1948; str. 154 i 4 nl.

DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

J. Fenimore Cooper. Szpieg Z przedmową **Stanisława Helsztyńskiego.** Poznań, Wielkopolska Księgarnia Wydawnicza, 1948; str. 339 i 1 nl.

Maria Kann: Góra czterech wiatrów. Powieść dla młodzieży. Warszawa, „Czytelnik", 1948; str. 293 i 6 nl.

Igor Neverly. Chłopiec z salskich stepów. Warszawa, „Czytelnik", 1948; str. 217 i 3 nl.

Or-Ot (Artur Oppman). Światek dziecięcy. Warszawa, „Wiedza", 1948; str. 31 i 1 nl.

Maria Rosińska. O różnych wesołych smykach z zeszytu i z piórnika. Poznań, „Oświata", 1948; str. 19 i 1 nl.

W poprzednim 21 (234) numerze „Odrodzenia": **Leon Kruczkowski:** Tematy amerykańskie (III). **Władysław Tomczyk:** Przeciw dwudziestemu wiekowi. **Zbigniew Stolarek:** Hagiografia ślepców czyli Laska jest biała. **Arkady Fiedler:** Chwała indiańskiej przeszłości. **Michał Sałtykow - Szczedrin:** Przemądrzały kiełb. — Sąsiedzi. (przełożył **Seweryn Pollak. — Jurij Tynianow;** Podporucznik Kiże (przełożył: **Ziemowit Fedecki i Tadeusz Mongird).** — Sztuka dla dzieci i młodzieży: **Janina Mortkowiczowa:** Wspomnienie. — **Halina Koneczna:** Na marginesie jednej książki. — Z rysunków **Olgi Siemaszkowej.** — **Olgierd Wojtasiewicz:** Krzysztof Kolumb odkrywca. — **Maria Rzeuska:** Pozorna krzywda „Pałuby". — **Tydzień bibliograficzny.** — XXII Targi Poznańskie (rysunki **M. Rudnickiego). — Artur Marya Swinarski:** Sartorius i spółka. — **Anna Z. Linke:** Wystawa plastyków-amatorów. — **Antoni Marianowicz:** Fraszki. — **Stanisław Jerzy Lec:** Fraszki. — **Camera obscura.** — Z teatru w Świdnicy. — 27 ilustracyj. — 8 stron.

OSIEMNASCIE LAT TEMU...

(Dokończenie ze strony drugiej)

z większą niż kiedykolwiek aktywnością.

...Te potworne projekty współdziałania wojskowego są jedną z tajnych dźwigni nowej Paneuropy. Chciałbym wiedzieć, co o tym myślą francuscy intelektualiści z ligi „France—Europe" i czy mają ochotę dekorować te projekty kwiatami. Nie mogę pozwolić im na odwrócenie oczu od pytania, dokąd ich ligę „France—Europe" mają zaprowadzić autorzy takich projektów. Dwa najpotężniejsze mocarstwa Zachodu nie dlatego chcą powiększać swe zbrojenia i armie, żeby stać z bronią u nogi.

Te dwa wygłodzone brzuchy czyhają na zdobycz i zamierzają podzielić ją między sobą, ponieważ nie mogą sobie dać z nią rady w pojedynkę.

Gdzież jest ta zdobycz?

...Sypiam tylko na jedno oko i od szeregu lat patrzę na wybiegi złych pastuchów, (aluzja do poprzedzającej przypowieści o owcach i pastuchu — przyp. red.) usiłujących okrążyć ZSRR, na ich podejrzane związki z białą emigracją i reakcyjnymi partiami, na nasze misje wojenne, którym polecono organizować armie najemne w pogranicznych państwach. Niedawny proces moskiewski *) nie dał mi nic takiego, czego bym już sam nie był podejrzewał. Upatrzoną zdobyczą ma być ZSRR. Jeżeli dotychczas wszystkie plany, układane przeciwko temu krajowi, nie miały powodzenia, to tylko dlatego, że — na szczęście dla Związku — wielcy złodzieje międzynarodowi, — angielsko - niemiecko - francuscy korsarze, nie mogli dotąd pogodzić się między sobą co do podziału skóry na niedźwiedziu. Z chwilą jednak, gdy zgoda zostanie osiągnięta i dojdzie do skutku blok europejski wojskowy i finansowy czy można sądzić, że pozostanie on bezczynny w obliczu świata radzieckiego, będącego jego zaprzeczeniem w dziedzinie społecznej, zagrażającego swymi sukcesami jego istnieniu.

Co do mnie, odkrywam karty: **jeżeli ZSRR będzie zagrożony, to stanę po jego stronie, ktokolwiek będzie jego przeciwnikiem.** (Wszystkie podkreślenia Romain Rollanda).

*

I to jeszcze nie wszystko. Jeszcze jeden pożar sroży się za drzwiami naszego mieszkania. Piękna Europa — której wiernym rycerzem jest Gaston Rioux, — chcąc się przypodobać młodzieńcom, upodabnia się do hożej dziewuszki z roku 1789, do bogini Rozumu o kwitnącym łonie, niosącej nową ewangelię Praw Człowieka i Obywatela. Lecz spod pokładów różu wyglądają inne rysy — mniej pociągające — cały świat zna tę tygrysią paszczę. Demokracje współczesne — to przecież imperializm (a jak powiadają niektórzy — wampirializm). To dwa lub trzy wielkie drapieżniki podzieliły między sobą całą ziemię. Ich żarłoczność nie zna granic. Napychają się do przesytu złotem i krwią ludów, które pod względem liczebnym przewyższają ich dwudziestokrotnie. Lecpard brytyjski wpił się pazurami w biodra Indyj, wpił się tak silnie, że nie można już ich wyciągnąć, nie może już żyć bez tej swojej zdobyczy.

My, Francuzi, pozwoliliśmy Anglii wyrwać sobie z rąk tę zdobycz za czasów nieszczęsnego Lally i Ludwika Kochliwego, lecz wynagrodziliśmy sobie potem tę szkodę wcale niczgorzej. Rzecz znamienna, że nasza ekspansja imperialistyczna zbiegła się z powstaniem naszej trzeciej republiki.

...Rozumie się samo przez sie, że zawładnęliśmy ćwiercią kuli ziemskiej tylko po to, żeby ją uszczęśliwić darami naszej cywilizacji, naszej kultury i języka, które to dary są najpiękniejsze na świecie. Niestety, nasi szczęśliwi chrześniacy przejawiają brzydkie skłonności: wolą swoje.

...Zbudzone Chiny nie usną już więcej. Indie Gandhiego poczuły swą siłę i dopiero niedawno dały sygnał wielkiego wyzwolenia. Pozostałe ludy Azji nie omieszkają podążyć za nimi. Nasze imperium indo-chińskie miało już też swoje rozruchy, zatopione, rzecz prosta, we krwi przez prokonsulów naszej demokracji. Taki sam dreszcz — objaw przebudzenia — wstrząsa ogromnym ciałem islamu, zajmującym trzecią część starego kontynentu.

Pytanie będzie postawione jutro, lecz stawiam je już dzisiaj: po czyjej stronie stanie Gaston Rioux ze swymi przyjaciółmi?

Zapytuję więc Gastona Rioux, jakie stanowisko zajmie on i jego przyjaciele? W którym stanie obozie? Czy będzie nadal ideologicznie obsługiwać panów Nafty i Smarów i blok zachodnich aferzystów? Zupełnie poważnie, — co zamierza on uczynić? Proszę o otwartą grę!

Czy po stronie boga kauczuku, w otoczeniu (rozumie się) całego Panteonu, świętego haremu — boginek wolności i rozumu, w otoczeniu sztuki, nauki, postępu, cywilizacji? Czy też staną oni po stronie swych wielkich braci azjatyckich i afrykańskich, którzy chcą rozbić swoje kajdany? Nie pozwalam na żadne wybiegi. Gdy rozpocznie się pojedynek, niemal nieunikniony wskutek ślepego egoizmu Europy, kto będzie posłusznym żołdakiem awanturników europejskich walczących przeciwko niepodległości powstającego świata?

Co do mnie, odpowiadam nie żądając tego od innych, lecz odsłaniając się całkowicie:

„Ja tym żołdakiem nie będę. Jeżeli — o Europo — rozpoczniesz tę potworną bitwę, to wystąpię przeciw tobie, przeciw twemu despotyzmowi i chciwości, w obronie mych braci z Indyj, Chin, Indochin i wszystkich narodów wyzyskiwanych i ujarzmionych. Uczynię to nie tylko w imię praworządności i świętych praw, na które się kłamliwie powołujesz w swoich deklaracjach ideowych. Uczynię to w imię cywilizacji, największej cywilizacji, w imię postępu, nie mającego granic ducha człowieczego: albowiem jego koniecznością najżywotniejszą w chwili obecnej jest wzbogacenie się i odnowienie przy pomocy intelektualnego i moralnego wkładu tych wielkich narodów. Grabież trwająca od wieków mogła ogołocić je ze złota, lecz zachowały one nienaruszone skarby duchowe swej tysiącletniej cywilizacji, odradzającej się obecnie.

Wbrew oczekiwaniom pragnę mieć nadzieję, że uda się jeszcze uniknąć olbrzymiego starcia narodów. Lecz jeżeli ono wybuchnie, to zbyt jestem bliski śmierci, abym miał ukrywać swoje myśli. Mówię więc Związkowi Lenina i Azji Sun-Jat-sena i Ghandiego:

„Bracia, liczcie na mnie! Jestem tylko człowiekiem, jednym z wielu milionów! Lecz człowiek ten przemawia i przemawiał przez całe swe życie niezależnym głosem Zachodu, głosem Jana Krzysztofa i Colas Breugnona. Był on wolnym pracownikiem, bratem wolnych pracowników całego świata, dążąc ku temu, by utorować drogę stworzeniu wszechświatowego związku pracy, wolnego od przesądów i niewoli ras, kast i klas".

...Ojczyzną moją nie jest Wczoraj. Moją Ojczyzną jest Jutro. I Przedjutrzniany dzwon tego „Jutra" już wybił.

Romain Rolland

*) Proces tzw. partii przemysłowej.

TEATR • TEATR • TEATR • TEATR • TEATR • TEATR

ARTUR MARIA SWINARSKI

SZLACHCIC MIESZCZANINEM

Państwowe Teatry Wojska Polskiego z Łodzi. Teatr „Placówka" w Warszawie. *Emil Augier* i *Juliusz Sandeau*: „Zięć pana Poirier", komedia w czterech aktach z prologiem (?) i epilogiem (?) Przekład: *Maria Bechczyc-Rudnicka*. Reżyseria: *Leon Pietraszkiewicz*. Dekoracje i kostiumy: *Zenobiusz Strzelecki*.

Komedia Emila Augier, przerobiona z powieści Juliusza Sandeau, napisana co prawda już za czasów Napoleona III, dzieje się w roku 1846, pod koniec *monarchii lipcowej*, która, jak mówi Marks, „była tylko towarzystwem akcyjnym dla eksploatacji francuskich bogactw narodowych; dywidendami tej spółki dzielili się ministrowie i dwieście czterdzieści tysięcy wyborców. Dyrektorem towarzystwa był Ludwik Filip". Dzieje się w okresie triumfu wzbogaconego mieszczaństwa.

Pan Poirier, czyli pan „Gruszczak" (nazwisko to jest może aluzją do współczesnych karykatur Ludwika Filipa, na których konterfektowano króla z głową w formie gruszki...) doszedł do majątku podobno w sposób uczciwy; piszę: podobno, bo jego krętactwa przy spłacaniu długów zięcia dają dużo do myślenia. Jest snobem, marzącym o tytule barona. Dla uwielbianej córki kupuje męża arystokratę; cena okrągły milion plus mieszkanie, wikt i opierunek. Pan Poirier — to ideał owych czasów; to również ideał Emila Augier, z lekka tylko łechtany bacikiem łagodnej satyrki, by komedia była weselsza.

Teatr Wojska Polskiego, odgrzebując stuletnią sztukę, pragnął ten ideał radykalnie ośmieszyć, więc przejaskrawił snobizm pana Poirier, a równocześnie zrobił z niego prawie kretyna. Jak taki kretyn doszedł do olbrzymiej fortuny, to pozostaje „tajemnicą libretta". Zięć pana Poirier jest sprytny, lekkomyślny i romansowy. Ale nagle poznaje się na zaletach swej żony, zakochuje się w niej — i nie byłoby dramatu. Niestety w tej właśnie chwili pan Poirier dla celów wychowawczych zaczyna stosować wobec zięcia akcję „O": na obiad miast faszerowanego bażanta będzie pieczony królik — itp. Zięć pędzi do kochanki, by się wypłakać na jej łonie, teść i żona dowiadują się o romansie — katastrofa, skandal, rozwód. Ale melodramatyczna żona teatralnym gestem (podarcie i spalenie obciążającego listu) rozładowuje napięcie, a melodramatycznie szlachetni kibice, przyjaciele zięcia i teścia, rozniecają na nowo ognisko domowe; zresztą ku niezadowoleniu samego pana Poirier, który wolałby z trzaskiem i hukiem zemścić się na arystokratycznym zięciu. Nawrócony zięć obiecuje wziąć posadę w jakimś przedsiębiorstwie i zasiada wraz z rodziną i przyjaciółmi do wieczerzy, by spożyć pieczonego królika. Szlachcic stanie się mieszczaninem, który ulegając prawu mimikry wsiąknie w środowisko episjerów, zbije grubą forsę i swe romansiki w przyszłości uprawiać będzie bardziej ostrożnie — o ile mu w tym wszystkim przypadkowo nie przeszkodzą wypadki, które rozegrają się za dwa lata w Paryżu; ale prawdopodobnie mu nie przeszkodzą.

Taki jest morał tej komedii mieszczańskiej, bardzo myszką trącącej. Sceniczne afekty „Zięcia pana Poirier", obegrane często przez późniejszych autorów, straciły na świeżości, ale doskonały dialog i dowcip bawią jeszcze dzisiaj.

Swoją drogą, sztuka jest chyba silna i ma twarde życie, skoro jej położyć nie zdołało przedstawienie w „Placówce", żenująco mizerne. Dialog źle zorkiestrowany i stale pełen fałszywych tonów, wszelkie finezje zacierają się, pointy giną. Honor zespołu ratuje jedynie *Irena Laskowska* (Antoinette), ale ma ciężką robotę ze swymi partnerami.

Trudno byłoby wysiedzieć do końca tego „Zięcia", gdyby nie scenograf *Zenobiusz Strzelecki*. Cztery akty komedii (prologu i epilogu nie zauważyliśmy) dzieją się w jednym i tym samym wnętrzu, ale barwy kostiumów tworzą z nim coraz to nowe konstelacje kolorystyczne, oko widza ma coraz to nowe interesujące niespodzianki i zmusza ucho słuchacza do wytrwania.

„Placówka" psuła nas stale. Dała nieskazitelne, wzorowe pod każdym względem przedstawienia „Nocy gniewu", „Ladacznicy z zasadami", „Psa ogrodnika", „Igraszek z diabłem". Zdarzały się tam wprawdzie i pozycje słabsze („Krwawe gody" i „Synowie"), ale wykonanie „Zięcia pana Poirier", jest po prostu okropne. Nie było z czym przyjeżdżać do Warszawy. Prosimy o wznowienie „Igraszek z diabłem", które zeszły z afisza w pełni powodzenia.

Artur Marya Swinarski

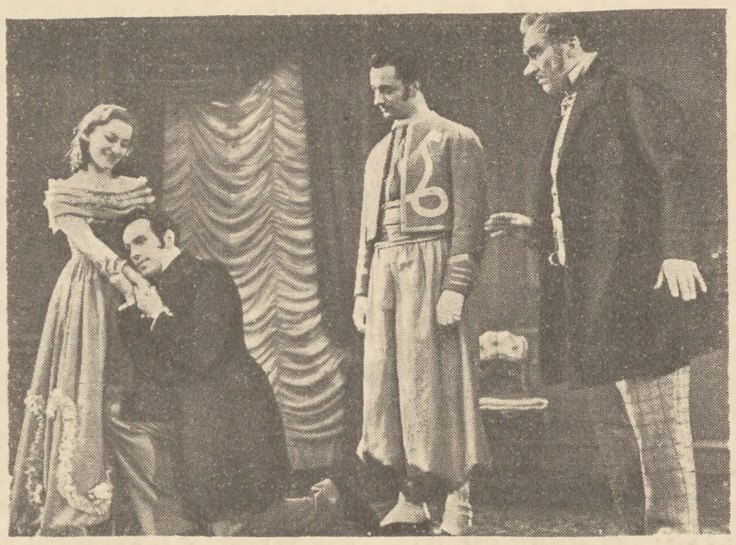

„Zięć pana Poirier" (I. Laskowska, J. Kaliszewski, J. Warmiński, K. Wilamowski)

Z wydawnictw teatralnych

„TU MÓWI TAJMYR"

Konstanty Isajew i Aleksander Galicz: „Tu mówi Tajmyr..." Komedia w trzech aktach. Przekład Aleksandra Maliszewskiego. Spółdzielnia Wydawnicza „Współpraca". Warszawa 1949; str. 116 i 10 ilustracji

Dlaczego nasze przedstawienia sztuk radzieckich są nieraz nieudałe? dlaczego psuje je bezradność aktora lub, jeszcze częściej, fałszywa analiza reżysera, który wprowadza prostactwo, gdzie powinna być prostota, albo krzykliwy ton propagandowy tam, gdzie go autor nie zaintonował? (Kilka konkretnych przykładów notowałem w swych recenzjach w „Odrodzeniu".) Jestem pewien, że zawinił tutaj brak tradycji: przecież przed wojną nie grywano u nas sztuk radzieckich prawie wcale. W roku 1932 narzekał Boy-Żeleński: „Teatry nasze, wystawiając tak wiele sztuk obcych, pomijają zupełnie współczesną twórczość sowiecką; a przecież musi nas ona bardzo żywo interesować. Raz jako okno otwarte na kraj, z którym sąsiadujemy, ale który jest dla nas pełen tajemnic; powtóre jako biuletyn z terenu ogromnego eksperymentu społecznego".

U naszych sąsiadów tworzył się nowy dramat i nowy teatr, dojrzewał nowy widz, — a nam nie pozwalano, patrzeć przez to „okno". Nie dziwimy się więc, że zarówno nasi reżyserzy jak i nasi aktorzy dopiero dzisiaj zaczynają odkrywać to, co powinni byli znać od lat, i że kroki ich na nowym terenie są jeszcze chwiejne.

Będziemy mogli te kroki teraz łatwiej kontrolować, bo Spółdzielnia Wydawnicza „Współpraca" rozpoczęła wydawanie sztuk pisarzy radzieckich. Ukaże się „Sprawa rosyjska" Simonowa i „Lew na placu" Erenburga; zapowiedziane są utwory Bałtuszisa, Korniejczuka, Sofronowa, Nitina, Wiszniewskiego, Romaszowa, Uspieńskiego, Surowa.

Wyszła już komedia „Tu mówi Tajmyr..." Isajewa i Galicza. Pisaliśmy o tej sztuce z okazji jej, wadliwego niestety, wystawienia w warszawskim Teatrze Nowym. W komediach zwykle toczy się gra między jednym człowiekiem a drugim. Oryginalność sztuki Isajewa i Galicza polega na tym, że tutaj gra toczy się między człowiekiem a przestrzenią; z jednej strony Diużikow, przewódca chóru, czyli zaimprowizowanej grupy przyjaciół, z drugiej olbrzymia przestrzeń ze stacją końcową Tajmyr, która Diużikow wreszcie zdobywa, tak jak w innych komediach amant zdobywa swą amantkę...

Artur Marya Swinarski

MIECZYSŁAW MARKOWSKI

Przed nowym okresem teatru Iwo Galla

Interesującym i godnym polecenia zajęciem u schyłku zamierającego zwolna sezonu jest obserwacja zmian następujących w geografii teatralnej. Pozostają oczywiście na dawnym miejscu gma-

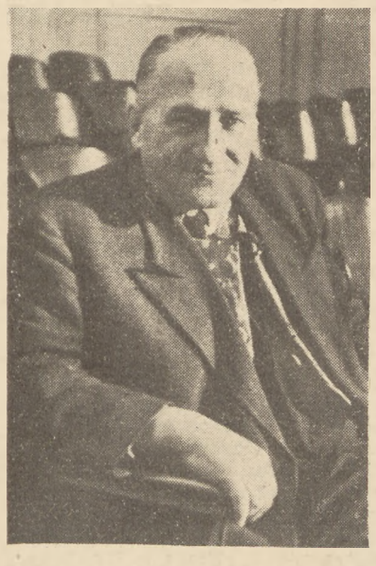

Iwo Gall

chy (może najwyżej gdzieś nowy przybędzie), ale nie one stanowią o wartości teatru. Oficjalna nazwa katowickiej sceny brzmi dzisiaj: Państwowy Teatr Śląski im. St. Wyspiańskiego. Ale powojenną historię tego przybytku Melpomeny pisać się będzie według etapów zamykanych klamrami nazwisk: Horzyca, Dąbrowski, Krasnowiecki... Woźnik.

Kierownik teatru zabarwia jego życie własną indywidualnością. Dlatego zapowiedź poważniejszych przesunięć (trochę to, jak dziecinna gra w komórki: te same osoby ciągle na innych miejscach) interesuje wszystkie ośrodki teatralne w całym kraju.

W Krakowie Bronisław Dąbrowski zostaje panem na czterech teatrach. Krakowianie zawsze mają szczęście. Do Katowic zjeżdża Woźnik, a Krasnowiecki praskim pociągiem dotrze do stolicy, do której od strony Łodzi zmierza również Schiller. Z dalekiego Cieszyna wyciągnięty zostaje Kwaskowski, który otrzymuje miejsce w sleepingu do Gdyni. I tu zbliżamy się do sprawy, która jest tematem niniejszego artykułu: Iwo Gall opuszcza Wybrzeże, przybywa do Łodzi, by objąć kierownictwo Państwowego Teatru Wojska Polskiego.

Trzyletnia praca Galla na Wybrzeżu stanowi właściwie początek historii teatru w tym ważnym rejonie, który dopiero po wojnie został naprawdę włączony w ogólnopolską sieć teatralną. Z drugiej strony nigdzie chyba zastąpienie oficjalnej nazwy teatru nazwiskiem jego kierownika nie było tak słuszne, jak właśnie tutaj. Z tych dwóch przesłanek wniosek prosty: historia teatrów Wybrzeża polskiego zaczęła się Teatrem Iwo Galla.

Można dyskutować, można się spierać o to, czy teatr ten był lepszy, niż pozostałe. Nie ulega jednak żadnej wątpliwości, iż teatr Iwo Galla był inny i w swoim typie jedyny na terenie całego kraju.

Gall opiera swą działalność na młodzieży aktorskiej. Teatr — studio. Teatr, w którym młody człowiek uczy się i wychowuje. Uczy się rzemiosła aktorskiego, a wychowuje się w miłości dla sztuki, w pracy zespołowej, w odrzuceniu kabotyńskich ambicyjek, w przekreśleniu smutnego dla rozwoju teatru pojęcia „gwiazdora".

Teatr Iwo Galla przez trzy sezony był sceną interesujących eksperymentów. Tu po raz pierwszy wystawiona została sztuka młodego, utalentowanego a tragicznie zmarłego pisarza Topornickiego-Gaycy pt. „Homer i Orchidea" i tu w „Marii Stuart" odtwórcy głównych ról byli tak dobrani, by królowa szkocka miała naprawdę lat 25, a Bothwell — 30.

Operowanie zespołem przez siebie wychowanym umożliwiało Gallowi pokazywanie widowni spektakłów o zupełnie wyraźnej koncepcji artystycznej. Nie było tam chyba nigdy nieporozumień, jakie wynikają niejednokrotnie na innych scenach, gdy obok siebie staną aktorzy reprezentujący różne szkoły, różne założenia pracy aktorskiej, nie mówiąc już o wypadkach bardziej tragicznych spięć, wynikłych z tradycjonalistycznych nawyków do popisywania się t.zw. wielką własną indywidualnością.

Zespół Iwo Galla to kolektyw teatralny, w pełnym i najlepszym tego słowa znaczeniu. Niebezpodstawnie sąd konkursowy Festiwalu Szekspirowskiego temu właśnie zespołowi przyznał chlubną pierwszą nagrodę za oklaskiwany gorąco na Wybrzeżu, a później w Warszawie (r. 1947) spektakl „Jak wam się podoba".

Bardzo nam się to podobało.

Wybrzeże nie od razu mogło się porozumieć z Gallem. Były tarcia i kwasy. Nie rozumiano artysty. Żądano od niego sprowadzania gwiazd. Żądano (nie rozumiejąc znaczenia tego słowa) realizmu. A Gall z uporem pokazywał młodych wykonawców. A Gall operował (w imię dobrze pojętej harmonii i hierarchii poszczególnych elementów teatru) myślowymi skrótami przy komponowaniu dekoracji. A Gall nie chciał, by Douglas przebił Rizzia prawdziwym sztyletem. Uśmiechał się, gdy go krytykowano. Nie z zarozumiałości. Z wiary, iż zostanie zrozumiany.

Tak się też stało. Dziś Wybrzeże nie bardzo chce się rozstać z Gallem, a kogo byś o to nie zagadnął, odpowie: E... może to jeszcze nieprawda.

Gall przywiązał się do swojej placówki na Wybrzeżu, ale o wyjeździe do Łodzi mówi z radością: Zawsze to bliżej Warszawy. Nic dziwnego. Tu przecież, na przełomie lat 1941—42, w mieszkaniu na rogu Tamki i Smulikowskiego powstał zalążek dzisiejszego jego teatru.

Roi się Gallowi częściowa przebudowa sceny łódzkiej (obecny kolor ścian np. może pomagać przy trawieniu, ale nie stwarza odpowiedniego nastroju do współdziału widowni w spektaklu), marzy mu się ściągnięcie z różnych krańców Polski gęsto tam rozsianych wszystkich swoich uczniów i wychowanków, marzy mu się wreszcie... odbudowa Ateneum, w którym przecież pracował razem z Jaraczem.

Teatr „Wybrzeże" z 29 pozycji repertuarowych za trzy ubiegłe sezony notuje złotymi literami tytuły:

20.XI.46 — Homer i Orchidea.
13.V.47 — Jak wam się podoba
27.X.47 — Balladyna
12.V.48 — Wesele
30.X.48 — Wiśniowy sad
7.V.49 — Maria Stuart

Tu kończy się etap. Zaczyna się dla Teatru Galla okres nowy, łódzki. A no, zobaczymy. Tymczasem odwróćmy spostrzeżenie Galla: Z Warszawy bliżej do Łodzi, niż do Gdyni...

Mieczysław Markowski

„Maria Stuart" Słowackiego w teatrze Galla

CAMERA OBSCURA

CO TYDZIEŃ NAGRODA 2000 ZŁ

Zwracamy się do czytelników „Odrodzenia" z prośbą o współpracę w dziale **„Camera obscura"**. Prosimy o przysyłanie dzienników, czasopism, broszur, ulotek i innych wydawnictw, z ustępami kwalifikującymi się do „Camera obscura pod adresem: Redakcja „Odrodzenia", **Warszawa, Daszyńskiego 16**, dział „Camera obscura". Ustęp taki należy **wyraźnie oznaczyć**, najlepiej kolorowym ołówkiem. **Komentarze nie są potrzebne.** Do przesyłki należy dołączyć imię, nazwisko i adres wysyłającego. Redakcja nie zwraca nadesłanego materiału i zastrzega sobie prawo wyzyskania go w dziale „Camera obscura". Za najlepszą rzecz danego tygodnia redakcja przeznacza **nagrodę w wysokości 2000 zł.**, która ma prawo dzielić lub w razie braku odpowiedniej kandydatury, orzec złożyć na następny tydzień.

Nagrodę zł. 2000 w ubiegłym tygodniu podzielono pomiędzy ob. ob. Benona Reichla, Kąpławki, gmina Winda, pow. Kętrzyn, oraz Janusza Zaleskiego, Warszawa, Kobielska 24 m. 11, za wycinki z „Rolnika Polskiego" i „Niedzieli na Wsi".

380 000

Do największych osiągnięć naszej prasy powojennej należy bez wątpienia „Rolnik Polski". Pismo to z miejsca zyskało uznanie wiejskiego czytelnika, nakład „Rolnika" rośnie w rekordowym tempie. I kto wie, czy właśnie powodzenie, które winno raczej spotęgować dbałość wydawców — nie jest przyczyną owej niedbałości, prawda, że w drobiazgach, ale powiedzmy sobie: W nakładzie 380.000 nie ma drobiazgów.

Leży przed nami książeczka „Dobry owoc w wiejskim sadzie", wydana w cyklu „Biblioteka „Rolnika Polskiego". Nakład książeczki 380 tysięcy egzemplarzy. Wśród licznych ilustracji, znajdujemy tu schematy rozplanowania ogródków działkowych.

Od razu widać, że autorzy książeczki popełnili trzy grzechy: grzech plagiatu, lenistwa i niedbalstwa. Przedrukowali rysunki z niemieckiego wydawnictwa bez podania źródła — plagiat! Zamiast przerysować całość — zmienili tylko napisy objaśniające — lenistwo! Zmieniając napisy z niemieckich na polskie — pozostawili tu i ówdzie napisy w języku niemieckim — niedbalstwo!

Nie jesteśmy przeciwnikami korzystania z wiedzy innych narodów. Ale w dziedzinie urządzania ogródków posiadamy dostateczną i znakomitą literaturę własną i tylko lenistwo idące w parze z brakiem odpowiedzialności mogło skłonić autorów do przedrukowania, byle jakich zresztą, wzorów niemieckich:

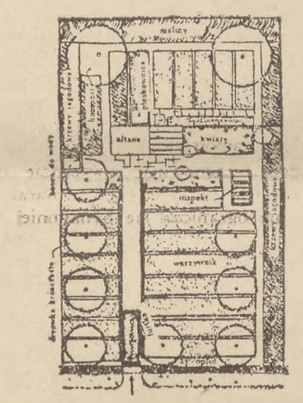

Na powyższym rysunku pozostawiono niemiecki: „Eingang", na drugim — „Sitzplatz", gdzie indziej — „Brombeeren".

Niechże nam wybaczy redakcja „Rolnika Polskiego" to przysłowiowe wrzucanie kamyka do „Ogródka działkowego". Ale trzysta osiemdziesiąt tysięcy „Eingangów", i „Sitzplatzów" to niemal — okupacja.

Et, ta woda!

W zeszłym tygodniu cytowaliśmy fragmenty rozmaitych „Krwawych zemst" i „Końców świata", którymi nieznane siły pragną nasycić głód słowa drukowanego na wsi. Jeżeli wspomniane „poezje" znajdują jeszcze dzisiaj czytelników, to nie dzieje się to bez winy ob. Józefa Bińczaka. Ob. Józef Bińczak jest poetą, jego tomik pt. „Żyto kwitnie" ukaże się wkrótce nakładem Oddziału Wiejskiego ZZLP. „Ej, ta woda", wiersz drukowany 17 kwietnia w „Niedzieli na wsi", wyjęty jest z tomiku „Żyto kwitnie":

Ej, ta woda!

Skoro dzień kalenice chałup rozognił,
z ostrza naelektryzowanego świerka
piskliwie trysnęła cisza wyładowana:
to najpierw u Ciamagi
spłukali
z łóżka
Zośkę malowaną!!

W wartkich łomotach drzwi i furtek
na uskrzydlonych nogach poskoczyła wieść!

Wrzawa buchnęła jak z karczmy ozwartej!
Krzykiem pawia zapiały to tu, to tam studzienne żurawie.
Ej, ta woda!
srebrnolewna,
rzeska, perlista,
a jak upaja!!
Każde chluśnięcie: jakby o dłoń odbijany trunek pryskał,
a cała wieś — jedno wielgachne,
bardzo pijane wesele!

Dziwocudny czas! Nawet starcom — jak echo — wraca młodość!
Ta, wiadomo: na zmurszałą ziemię zstąpił Świętylijek!!

Język ob. Bińczaka brzmi dziwocudacznie zarówno w uszach mieszkańca wsi, jak i miasta. Jednakowo zadziwi górala na Giewoncie i nurka na dnie Zatoki Gdańskiej. Dla kogo więc pisze ob. Bińczak? — Chyba dla urojonych czytelników z jakiejś nieistniejącej krainy wymyślonego regionalizmu. A może dla swoich kolegów z Oddziału Wiejskiego ZZLP?

Jeżeli tomik Józefa Bińczaka nie będzie czytany na wsi, to nie dlatego, że chłopi są nieoświeceni, przeciwnie, dlatego, że chłopi są — światli. Nie uda się ob. Bińczakowi przerobić chłopów na dziwocudaków.

Punkt widzenia

W rubryce „Uczmy się naszych piosenek" pismo „Wiadomości SP" drukuje piosenkę R. Stillera pt. „W szczecińskim porcie". Oto ona:

Dwaj weseli marynarze
Wyszli na Szczeciński port
Wiatr im łapą przetarł twarze
Nie poznali swoich stron.
Wtedy oczy zrobił słabe
Taki młodszy bosman-mat,
Dla pewności podparł lampę
i koledze powie tak:

Słuchaj Felek, do miliona
Czarnych beczek, złotych ryb,
Czy ten Szczecin jest szalony,
Że tak rośnie jak ten grzyb?

A tymczasem dziarskim krokiem
Nasze bractwo właśnie szło,
Noc patrzyła mokrym okiem
Poprzez granatowe szkło.
Ten pod lampą, trochę chwiał się,
Ale tak, że niby wie,
I na końcu rzekł: bra-bracie,
Czy to aby nie S. P.!

Słuchaj Felek, do stu żagli
W balon dętych przez ten wiatr
Tych to do roboty nagli!
Ci to sobie walą w świat.

Myśmy przeszli w srebrnym blasku,
Jeden majtek patrzył w ślad
Drugi patrzył jakby zasnął,
Żeby umiał toby zjadł.
Jeden mówił do księżyca,
Bo rozumiał powód zmian,
Drugi się tam czymś zachwycał
Echa głos powtórzył, nam:

Słuchaj Felek, do miliarda
Fal szemranych w morską toń!
W tych chłopakach dusza twarda,
Tak jak krok, i tak jak dłoń!

Pięknie! Ale dlaczego patrzyć na chłopaków z SP — oczami pijanych marynarzy, podpierających „dla pewności lampę!!? I co to znaczy: „żeby umiał toby zjadł..."? i „jeden mówił do księżyca, bo rozumiał powód zmian..."?

Piosenka musi mieć rym i rytm i zmiany. Ale nie — za wszelką cenę.

„Abrakadabra"

„Express Wieczorny" coraz bardziej i lepiej dba o potrzeby czytelników. Coraz częściej znajdujemy w „Expressie" artykuły popularyzujące naukę, literaturę i sztuki piękne. Tym bardziej żałujemy, że do przejrzystego i pouczającego artykułu o Felicjanie Kowarskim, wkradło się, nie bez zasługi korektora, następujące zdanie:

tykę trudną i zdawało by się z niej akceny będące nie yllarzy bywa, trywilane, oleodzieje, historia. Nawet jeśli szym rozumieniu tego słowa) przez Kowarskiego po wojnie.

Korespondencja Camery

PYTANIE I ODPOWIEDŹ

W związku z zamieszczoną w „Camerze" notką p.t. „Pytanie" komunikuję, że fraszkę pod tym samym tytułem, drukowaną w pierwszomajowym numerze „Szpilek" dedykowałem St. J. Lecowi nie jako temu, kto zna najlepiej kurs dolara, lecz jako autorowi znakomitej fraszki:

„PRZEPIS KUCHARSKI

Niech sobie ten przepis przeczyta elita,
Że każda śmietanka na deser jest bita".

Tak, tak, kochany Camerzysto! „Każdy kęs ma swój sens".

W. L. Brudziński

KORESPONDENCJA

Do Redaktora „Odrodzenia"

Otrzymałam z Pragi wybór polskich nowel tłumaczonych na język czeski p.t. „Za mir sveta" pod redakcją zasłużonej tłumaczki pani Heleny Teigovej. W nocie biograficznej o mnie pani Teigova podaje, że otrzymałam doktorat z filologii francuskiej na uniwersytecie we Lwowie i doktorat Sorbony. Ponieważ nie posiadam tych tytułów, uważam za swoją powinność wyjaśnić ten szczegół biograficzny.

Anna Kowalska

Dyrekcja Biblioteki Narodowej proci ob. Rosinkiewicza o zgłoszenie się osobiste lub pisemne do Biblioteki (Warszawa, Rakowiecka 6, tel. 405-43).

Osoby, znające ob. Rosinkiewicza, proszone są o podanie jego adresu. Chodzi o uzyskanie bliższych danych o kartotece bibliograficznej, którą ob. Rosinkiewicz ofiarował Bibliotece Narodowej w czerwcu 1945 r.

Redaktor Naczelny: JERZY BOREJSZA Adres redakcji: Warszawa, ul. Daszyńskiego nr 16, tel. 80-664 i 40-180 wewn 22 — Redakcja przyjmuje od g. 11 do 13. Adres administracji: Warszawa, ul. Daszyńskiego nr 12, tel. 810-26
Drukarnia nr 2 „Czytelnik", Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna 100 zł, kwartalna 300 zł — Konto w PKO — I. 4739 B-77034 Wydawca: Spółdzielnia Wydawniczo-Oświatowa „Czytelnik"